Rok X. Nr. 3.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO à PAULO.

Lipiec.

KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład XX. Misyonarzy.
1904.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata wynosi rocznie **7 Kor. (7 Mk.)**

Upraszamy uprzejmie o łaskawe nadsyłanie kosztów prenumeraty za rok 1903 i 1904 pod adresem: Redakcya „Roczników obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego à Paulo" — XX. Misyonarze, Kraków, Kleparz L. 19.

New Haven, dnia 15 stycznia 1904.

Najczcigodniejszy Księże Wizytatorze!

Łaska Pana Naszego Jezusa Chrystusa niech zawsze będzie z nami!

Już trzeci tydzień dobiega, odkąd objęliśmy parafię w New Haven Conn., a sześć tygodni jak stanęliśmy na ziemi amerykańskiej; czas więc najwyższy, bym zdał sprawę Przew. X. Wizytatorowi z tej naszej misyi zamorskiej.

Opatrzeni błogosławieństwem Czcig. X. Wizytatora jechaliśmy z Krakowa, ufni w pomoc Bożą i w modlitwy pobożne obojga Zgrom. Do głębi serca wzruszyła nas poczciwość konfratrów, którzy na słotę nie zważając, dość licznie przybyli z obydwóch domów krakowskich na dworzec kolejowy, by po raz ostatni uściskać dotychczasowych współpracowników swoich. Pożegnawszy się z nimi serdecznie, ruszyliśmy w drogę przekonani, że taka wola Boża. Podróż mieliśmy spokojną aż do granicy Ślązka. Skoro zobaczyliśmy słupy graniczne, żywiej zabiły serca, przynajmniej mnie i X. Waszke, boć to przecie ziemia rodzinna — tyle z nią powiązanych wspomnień młodości, tam rodzina mieszka. Nic też dziwnego, że aż do Gliwic obaj płaszczyliśmy sobie nosy na szybach wagonu, co stacya, wypatrywaliśmy za twarzami znajomemi. W Rudzie znalazła się na stacyi garstka krewnych X. Waszke, w Zabrzu znowu moja rodzina; to były ostatnie pożegnania najbliższych sercu naszemu. Potem X. Waszke miał już tylko w Opolu uronić łezkę pożegnalną, tam bowiem brat jego jest asystentem stacyi. Za Opolem każdy z nas wcisnął się w kącik wagonu, zamknął oczy i myślał o konfratrach, o rodzinie, bo jakoś do rozmowy nam było nie-

sporo po przebyciu tylu wzruszeń w przeciągu kilku godzin. Mieliśmy na noc stanąć u naszych Sióstr we Wrocławiu. Nie bardzo nam się chciało opuścić ciepły i wygodny wagon, bo na dworze deszcz ulewny, tak, że świata nie było widać z poza strug wody, spływającej po szybach wagonu. Ale trudno, Siostry już były uwiadomione o naszem przybyciu i pewnie porobiły przygotowania, nie można im zatem robić zawodu. W kilka minut zajechaliśmy ze stacyi przed dom Sióstr i z przyjemnością słuchaliśmy choć łamanej, przecież tak ukochanej polskiej mowy. Nazajutrz po śniadaniu ruszyliśmy w dalszą drogę, do stolicy państwa „dobrych obyczajów i bojaźni Bożej". Już z daleka widzieliśmy morze światła, bo zajechaliśmy do Berlina wieczorem o godzinie 6-tej. Na stacyi ruch pociągów tak szalony, że trwoga nas brała, jak się tu będzie wydostać bezpiecznie i z całą głową z tego wiru. Ale jakoś wszystko poszło szczęśliwie i wreszcie znaleźliśmy się na ulicy. Stanęliśmy w hotelu katolickim, gdzie zazwyczaj duchowni wstępują, ile razy wypadnie im zatrzymać się w tem gnieździe protestantyzmu. Nazajutrz był kłopot ze mszą św.; były w pobliżu jakieś zakonnice, o których nam mówił portyer. Więc dalej do nich, czyby tam nie można odprawić mszy św. Ale nas krótko zbyły, zasłaniając się tem, że miały długie nabożeństwo żałobne i coś tam jeszcze, a patrzały przytem na nas trochę z nieufnością i ani nas nie wpuściły do domu, tylko przy bramie odprawiły. Poszliśmy zatem do poblizkiego kościoła parafialnego św. Jadwigi i tu nie było żadnych trudności. Zakrystyan, oczywiście laik, wygolony jak sztangret, zapytał o celebret, pokazaliśmy nasze listy polecające, opatrzone pieczęcią X. Wizytatora; nie wiem, czy ich nie odwracał do góry nogami, ale tak mi się zdawało, kiwnął głową łaskawie i poszliśmy do ołtarza. Przy mszy zaraz na wstępie mieliśmy trochę dystrakcyi, bo nieprzyzwyczajeni byliśmy do „łaciny niemieckiej", to też gdy mi huknął chłopak na całe gardło „Kyrie eleison", osłupiałem, a jeszcze bardziej X. Trawniczek, jak później opowiadał. Po śniadaniu wyszliśmy na miasto, choć trudno było coś

zobaczyć, bo ciągle deszcz padał. Bądź co bądź, trzeba jednak było zwiedzić sławny zwierzyniec. Ale jak się do niego dostać bez przewodnika, to nie mała sztuka. Można wprawdzie było wsiąść do fiakra i kazać się zawieść, ale żal nam było pieniędzy, bo tu fiakry drogie. Więc wskakujemy na pierwszy lepszy tramwaj i opowiadamy cel naszej jazdy. Konduktor w kłopocie, bo ten tramwaj wcale nie jedzie na tę ulicę. Ale po długim wahaniu pozwolił jechać, obiecując, że nam pokaże, jak mamy potem iść, żeby się dostać do zwierzyńca. No, i jakoś doszliśmy szczęśliwie. Zwierzyniec ogromny, bardzo ładnie utrzymany, zwłaszcza ptaki i małpy mają tu licznych reprezentantów, w porównaniu wszakże do hamburskiego zwierzyńca jest to skromny ogródek zoologiczny. Z powrotem chcieliśmy jeszcze zwiedzić sławną aleę pod lipami, ale nie było na to czasu, bo o godzinie 1·25 mieliśmy wyjechać do Hamburga, a tu już blisko 12-ta. Zjedliśmy więc obiad i zaraz wyruszyli na dworzec. Jazda do Hamburga była nader przyjemna tak zwanym D-Zugiem. Wagony urządzone są z wszelkim komfortem, przy każdem siedzeniu lampka elektryczna oprócz lampy głównej. Przybyliśmy do Hamburga o 8-mej wieczorem, na dworcu już czekali na nas XX. Kisielewicz i Wilken. Zajechaliśmy do hotelu Pfarrkrug, gdzie z nas o mało skóry nie złupili, a to podobno z porządniejszych hoteli jeszcze najtańszy. Nie wiele zresztą przebywaliśmy w nim, bo X. Kisielewicz tak się nami zajmował serdecznie, że na chwilę nas nie zostawił samych. W niedzielę do południa zaprowadził nas X. Wilken do Kunsthalle, niby pałac sztuk pięknych, chyba na urągowisko tak nazwany. Zresztą nie dziwota, że tu niema sztuki, boć to przecie miasto handlowe i przemysłowe par excellence. Jedyny obraz, który może mieć wartość artystyczną, to mały obraz rodzajowy Böcklina. Za to wystawy sklepowe zdradzają niezmierne bogactwo kupców, przedewszystkiem na głównej ulicy, zwanej Jungfernstieg. Jedną rzecz prawdziwie piękną posiada Hamburg, t. j. muzeum antropologiczne. Tam możnaby cały tydzień chodzić,

i jeszczeby się wszystkiego nie zobaczyło. Jest to coś w guście muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie, tylko na większą skalę. Z tem muzeum łączy się muzeum zoologiczne, w którem od wieloryba i słonia począwszy, można widzieć wszelkie istoty ze świata zwierzęcego aż do najdrobniejszych mięczaków i żyjątek morskich mikroskopijnej wielkości. Wszystko jak najstaranniej wypchane i czysto zachowane w szklanych szafach. Szczególniejsze zainteresowanie wzbudził goryl, boć tego potwora w Europie nie ma w żadnym ogrodzie zoologicznym. Wszystko to mogliśmy tylko pobieżnie oglądnąć, choć ofiarowaliśmy na to całe popołudnie niedzieli. Wróciwszy stamtąd, mieliśmy trochę czasu do kolacyi i obróciliśmy go na zmówienie brewiarza; ale nie wiele go odmówiliśmy, bo przyszedł jakiś ksiądz, który miał polecenie od X. Świdra z Ameryki do X. Kisielewicza. Dowiedziawszy się, że nas trzech jedzie do Ameryki, zatrzymał się chwilę, by zawrzeć z nami znajomość, jako z przyszłymi towarzyszami podróży. Przedstawił się jako Czech, X. Rynda, proboszcz z St. Paul. Nader miły człowiek i bardzo jowialny. Było to prawdziwe zrządzenie Opatrzności Bożej, żeśmy dostali takiego cicerone, bo sami na okręcie w niejednej rzeczy nie bylibyśmy sobie dali rady. W poniedziałek wykupiłem bilety okrętowe, nadałem pakunki, a popołudniu zwiedziliśmy ogród zoologiczny. Jest on co najmniej cztery razy większy od berlińskiego i nader bogato zaopatrzony w różne rzadkie okazy ze świata zwierzęcego. Szczególnie ubawił nas słoń obłaskawiony, który na przywitanie gości wyciąga trąbę i z lekka nią potrząsa. Jestto znak, że prosi o jaki pieniążek. Otrzymawszy go, spuszcza trąbę, a na podziękowanie trzy razy uderza nią o ziemię. Następnie daje znać dozorcy okrutnym rykiem, że chce sobie kupić chleba. Pieniędzy jednak nie odda, póki tego chleba nie zobaczy. Ażeby mu się nie nudziło czekać, uwija sobie trąbą sporą wiązkę siana i wpycha do olbrzymiej paszczy, pieniążka jednak przytem nie upuści. Otrzymawszy chleb, uprzejmie dziękuje. We wtorek rano o godzinie ósmej już trzeba siadać było na pociąg, który

miał nas zawieźć do portu Cuxhaven. X. Kisielewicz odprowadził nas na dworzec i tu jeszcze raz podziękowaliśmy mu za wszystko, co dla nas uczynił; a usługi jego były nie małe. Jestto człowiek niestrudzony, gdy chodzi o usłużenie Polakom; tak się nimi zajmuje troskliwie, tak nie żałuje czasu dla nich, że doprawdy zdumiewaliśmy się tylko nad tem, a wszystko to czyni bezinteresownie. Nam się oddał do usług najzupełniej, ażeby, jak powiadał, choć w części odwdzięczyć się za gościnność, której doznał podczas wakacyj na Stradomiu. Pociąg wiozący nas jest własnością towarzystwa hambursko-amerykańskiej linii, więc też podział taki sam jak na okręcie na klasy. Odwozi do portu tylko pasażerów I. i II. klasy, a trzecią klasę dzień przedtem wywożą małym parowcem. Do portu przybyliśmy o godzinie 12 w południe, witani uroczystym marszem kapeli okrętowej.

Wyobrażaliśmy sobie, że będą nas podwozić do okrętu jakimś mniejszym parowcem, a tu tymczasem wprost z lądu weszliśmy na pokład Moltkego. Trzecia klasa wyległa jak jeden mąż na pokład, by się przypatrzeć uprzywilejowanym swoim współtowarzyszom podróży. Wskazano nam drogę do I. klasy; majtkowie i obsługa okrętowa pomagali nam przy tem i wreszcie znaleźliśmy się w naszej kajucie, a właściwie nie naszej, bośmy mieli zamówioną kajutę 315-tą a dano nam 295-tą czyli o jedno piętro wyżej. Miała to być dla nas grzeczność ze strony starszego stewarta, ale nam ta grzeczność nieraz stanęła kością w gardle. Kajuta ta dla trzech osób, wcale ładna i porządna, miała jedną słabą stronę, tj. okrutnie w niej śmierdziało. Zaraz na wstępie zauważyliśmy to, ale tak dalece nie zwracaliśmy na to uwagi; zdawało nam się, iż to przejdzie, bo pewnie nie była wietrzoną dawno. Zresztą nie było nawet czasu szukać długo za przyczyną fetoru, bo wkrótce dano znak do obiadu, a właściwie do drugiego śniadania o $12^1/_2$ w południe. Idziemy pełni fantazyi, bo wszystko było jeszcze w porządku, okręt stał na miejscu, a zatem i choroba morska wraz z wszystkiemi następstwami jeszcze nas nie nawiedziła. Podniesiono kotwicę

koło pierwszej i okręt powoli ruszył z miejsca. Po śniadaniu wyszliśmy na pokład wraz z naszym cicerone, który nas we wszystkiem objaśniał, patrzeliśmy się na wszystkich i wszystko, a okręt sobie jedzie i coraz lepiej kołysze się jakby jaka olbrzymia kołyska. Zamówiłem dla nas trzech krzesła okrętowe, na których można siedzieć i leżeć, jak komu wygodniej. Koło godziny 3-ciej poczuliśmy nudności. X. Waszke blady jak ściana, a i ja podobno nie lepiej wyglądałem, jakoś i rozmowa nam się nie kleiła. Siadamy więc na krzesła w tej nadziei, że nam będzie lepiej, ale nudności nie ustępują. X. Trawniczek nie stracił jakoś fantazyi, choć także czuł nudności; widząc, co się z nami dzieje, zaproponował zejść do kajuty. Idziemy więc, ale tak jakby nie na swoich nogach, grunt pod nogami zdaje się uciekać gdzieś w głębie. Zstępujemy po schodach, a schody idą z nami w górę, słowem, wszystko się kręci z nami; znak to najlepszy, że już choroba morska w kościach, a X. Trawniczek się śmieje i głośno odprawia rozmyślania to nad osobami, które się przesunęły przed naszemi oczami, to nad nieznośnym fetorem w naszej kajucie, to znowu nad tem mdłem kołysaniem się okrętu. X. Waszke się położył, a ja chcąc wstać po coś uczułem nagle większe nudności, aż zakręciło mi się w głowie. Położyłem się potem na kanapie śmiertelnie znużony i apatyczny nad wszelki wyraz. X. Trawniczek poszedł na pokład i po jakimś czasie wraca i namawia mnie, żebym wstał i także wyszedł na wierzch, a pewnie będzie mi lepiej. Długo nie mogłem się na to zdobyć, ale koło godziny 8-mej wieczorem zadałem sobie gwałt i poszedłem choć z trudem. Słaniałem się jak pijak, który chce udawać trzeźwego, ale wytrzymałem u góry do $12^1/_2$ w nocy, i to mnie uleczyło; już potem nie chorowałem, choć okrętem rzucało bardzo. X. Waszke tymczasem leżał przez całe trzy dni i tak był osłabiony, że głowy nie zdołał podnieść, bo zaraz nudności brały go na nowo. Jeden X. Trawniczek oparł się chorobie i nie stracił na chwilę humoru, bawił nas dowcipami, opowiadał swoje spostrzeżenia i opisywał komicznie ludzi wi-

dzianych. Na drugi dzień wstałem jak kijami zbity, ale sobie święcie postanowiłem nie siedzieć ani chwili w kajucie, lecz o ile możności cały dzień spędzić na pokładzie, i tak też zrobiłem. Modlitwy i rozmyślanie odprawiłem sobie na pokładzie, bo wczas rano nie ma tam nikogo, nikt nie przeszkadza. Dziwne to doprawdy wrażenie, ze wszech stron otacza nas woda i woda, a my na łupince płyniemy w dal, w obce kraje, nie wiedząc co nas tam czeka, jak nas ta Ameryka przyjmie. Boć to, prawdę mówiąc, nikt nas tam nic wzywał, zaprosił tylko X. Nawrocki, obiecując, że pracy nie zabraknie; ale bądź co bądź, było to ryzyko z naszej strony. Nieraz też trapiły mnie rozmaite myśli, przewidywania; opędzałem im się jak mogłem i zawsze zasłaniałem się tem, że nie jedziemy przecież dla dogodzenia fantazyi, tylko na pracę i to z woli Bożej; bo gdyby w tem nie było woli Bożej, to byłaby się znowu znalazła jakaś przeszkoda, jakich już było wiele od samego początku, skoro tylko powstał projekt utworzenia misyi w Ameryce północnej. Jeżeli więc Pan Bóg pozwolił, żeby ten plan dojrzał i został wykonany, to też nas nie opuści na ziemi amerykańskiej, lecz da pracę, po którą jedziemy.

Życie na okręcie, na ogół biorąc, jest dość jednostajne. Pobudkę ranną do wstawania otrąbiają o godzinie siódmej rano dla I. klasy; druga klasa wstaje o pół godziny wcześniej. Śniadanie gotowe jest o $7^1/_2$ i przez całą godzinę sala jadalna jest otwartą; kiedykolwiek się przyjdzie, zaraz służba się pyta o życzenia. Wybór jest bardzo wielki i wszystko z góry już zapłacone biletem okrętowym. Z początku nie bardzo umieliśmy korzystać z tego, poprzestawaliśmy dwa pierwsze dni na kawie i bułeczce. Ale widząc, jak inni przebierają w rozmaitych przysmakach i myśmy się rozłakomili, temwięcej, że nam nasz mentor ciągle powtarzał: nie wstydźcie się, bo zapłaciliście przecie gruby pieniądz, więc macie wszelkie prawa żądać wszystkiego, co mają w pogotowiu. To też powoli, powoli rozpanoszyliśmy się nielada, a apetyt był, bo po chorobie morskiej zwykle tak bywa. Dopiero pod koniec

podróży, gdy już potrawy zaczęły tracić swą świeżość, powróciliśmy do pierwotnej skromności. Po śniadaniu idzie się zwykle na pokład, jeśli powietrze na to pozwala, spaceruje się lub czyta; około godziny 10-tej wychodzi na pokład muzyka okrętowa i przez godzinę przygrywa pasażerom. O 11-tej służba okrętowa obnosi bulion i sucharki. O godzinie 12-tej trąbi okręt, a kapitan oblicza mile, któreśmy upłynęli w przeciągu 24-rech godzin i wywieszają tabliczkę na korytarzach. Wszystko wówczas biegnie do tabliczki i raz cieszymy się, drugi raz znowu posępnie spoglądamy na cyfry, bo nie codzień jednako okręt płynie. W pierwszych sześciu dniach rzadko kto spojrzał z wesołą miną na tabliczkę, bo okręt szedł bardzo powoli z powodu przeciwnych wiatrów; przepowiadali też znawcy, że zamiast 10 dni popłyniemy 11, a może 12 dni. Ale skoro tylko wiatr ustał, okręt zupełnie inaczej szedł: robił wówczas na dobę przeszło 400 mil, to też i humory się poprawiły. O godzinie 12½ dają znak na drugie śniadanie, i tu co dzień menu inne; jest zwykle pięć do sześciu dań. Potem spacer po pokładzie, drzemka popołudniowa, czytanie książek, lub jakikolwiek sposób zabicia czasu. Widziałem tam szajkę karciarzy, którzy po całych dniach się ogrywali wzajemnie, a jeśli nie grali w karty, to płatali rozmaite figle współpodróżnym. O godzinie 4-tej znowu muzyka wychodzi na pokład i gra przez godzinę; koło 5-tej służba obnosi herbatę i kawę z ciastkami. Obiad o godzinie 6½ wieczorem z muzyką smyczkową. Jedzenie bardzo obfite i wyszukane i dlatego właśnie często niesmaczne. Zwykle było na obiedzie najmniej sześć dań, z których, trafiało się, że dla nas zaledwo trzy były możliwe do jedzenia. Wielu też z amerykanów, którzy z nami jechali, nie bywało w sali jadalnej, bo jest na okręcie kuchnia osobna dla smakoszów, oczywiście, że tam muszą za każdą rzecz słono płacić, ale co to znaczy dla amerykanina, który rzuca na wszystkie boki dolarami. Po obiedzie, wśród ciemnej nocy, wychodziło się na pokład na spacer i tam pozostawaliśmy stosownie do tego, jakie było powietrze, godzinę lub dwie, a następnie

szliśmy spać. Z małemi zmianami spędziliśmy w ten sposób całe dziesięć dni, i pod koniec już się przyzwyczailiśmy do takiego próżniaczego życia. Okręt nasz, to jeden z największych pasażerskich statków, może pomieścić z górą 2500 ludzi. Ale ponieważ jechaliśmy porą zimową i burzliwą, więc nic dziwnego, że było pasażerów daleko mniej. Nas w I. kl. było 81, w II. klasie było podobno 120 osób, w III. klasie przeszło 1300, a między nimi 500 czy 600 Polaków z różnych dzielnic naszego kraju; resztę złożyli reprezentanci najróżnorodniejszych narodowości. Załogi okrętowej wraz z obsługą liczono na 300 głów. Okręt sam ma 529 stóp długości, 60 kilka szerokości i 38 głębokości, a siłę 15 tysięcy koni. Obsługa okrętowa tj. majtkowie, stewardowie i stewardessy rekrutują się wyłącznie z Niemców, choć wszyscy mówią biegle po angielsku, a lokaje po kajutach umieją jeszcze i po francusku. Wielu z nich to prawdziwe obieżyświaty, którzy niemal każdy kątek ziemi zwiedzili. Kapitan, człowiek starszy, poważny, ma sławę bardzo sumiennego urzędnika. To też widzieliśmy sami, jak codzień obchodził cały statek, w każdy kąt wglądnął; służba przed nim drży ze strachu. Przez cały czas jazdy tylko dwa razy był przy wspólnym stole, a tak zawsze czujny jak żóraw siedział w swojej kajucie na samym szczycie pokładu i wydawał ciągle rozkazy tubalnym głosem, co szczególniej bawiło X. Trawniczka.

28 czerwca.

Długa była przerwa pomiędzy pierwszą a drugą częścią mego sprawozdania, i to tak długa, że pierwszą część możnaby śmiało powierzyć płomieniom, lecz żal mi się robi tego czasu, który na napisanie tegoż poświęciłem; z tej przyczyny posyłam i tę pierwszą część, zdając ją na łaskę i niełaskę Szanownego Grona redakcyjnego „Roczników“ naszych.

Gdy się przybliżał koniec naszej podróży morskiej, zaczęliśmy gorączkowo pisać listy do znajomych i krewnych; papier listowy ozdobny, z herbem okrętu, otrzymują pasażerowie I. klasy w dowolnej ilości darmo. Na dwa dni przed

wylądowaniem doręczono nam blankiety do wypełnienia w sprawach celnych. Należy na nich wpisać wszystkie przedmioty podlegające cłu; jest tego spora litania. Nas aż mrowie przechodziło, boć mieliśmy tyle ubrań nowych, różne devotionalia, a to wszystko było wyliczone na owej fatalnej karcie. Nasz mentor uspokajał nas, ale sam nie bardzo był pewien siebie, bo coś podobnego spotkało go po raz pierwszy, chociaż już ośm razy odbył taką podróż. Wreszcie zgniewało go to wszystko i ile razy kto wspomniał o cle, on spluwał zamaszyście i dwa tylko słowa wypowiadał: „zatracone potwory“. Znalazł się jakiś Alzatczyk, który się trochę lepiej znał na tych interesach, i ten nas zapewnił, że nie potrzebujemy się całkiem obawiać, bo naprzód owe karty są przedewszystkiem przeznaczone na spis kosztowności, a powtóre, celnicy amerykańscy są bardzo ugrzecznieni względem duchownych, jest między nimi dużo katolików i możemy bardzo łatwo dostać rewizora katolika, i wówczas nie będzie najmniejszych trudności. I tak się też stało. W ostatni dzień jazdy, był to piątek 4 grudnia, już po śniadaniu zaczęliśmy pakować swoje walizy, choć mieliśmy lądować dopiero koło 3-ciej popołudniu. Znać też było i na morzu, że zbliżamy się do brzegów, bo pełno było najrozmaitszych okrętów i pasażerskich i rybackich i handlowych. Wszystko to zdążało do Nowego Yorku i oczywista pozostawało daleko za nami, boć nasz okręt należy do szybszych okrętów pasażerskich. Koło godziny 10-tej przybliżył się mały parowiec do naszego statku, był to okręt sanitarny, który wiózł na swoim pokładzie kilku lekarzy; od nich zależą losy pasażerów trzeciej klasy. Jeżeli przy takiem badaniu znajdą kogoś niezdrowego, albo kalectwem jakiemkolwiek dotkniętego, oddzielają go od reszty pasażerów i odsyłają napowrót do starego kraju. Tem też wytłumaczyć można, dla czego w Ameryce niema żebraków, bo kto tu został kaleką, ten otrzymuje od kompanii dla której pracował, dostateczną zapomogę, a obcych kaleków nie wpuszczają, gdyż tacy, jako niezdolni do pracy, staliby się prędzej czy później ciężarem

dla państwa. Koło godziny 12-tej przybliżył się drugi parowiec; była to poczta, która zabiera listy z okrętu, a przywozi wielce upragnione gazety. Prawie równocześnie zbliżył się do naszego okrętu trzeci jeszcze parowiec, ten znowu wiózł komisyę celną, która zaraz po naszem drugiem śniadaniu, koło godziny 1-szej rozpoczęła swe urzędowanie. W sali jadalnej pierwszej klasy zasiadło coś 10-ciu tych panów przy stołach i każdy pasażer I. i II. klasy musiał przed jednym z nich szczegółowe czynić zeznanie, jaka zawartość jego kufrów i tłómoków i ile ich jest, a wszystko pod przysięgą. Po spisaniu tego protokołu pasażer się podpisuje i odbiera małą karteczkę, na której wypisany jest numer protokołu. Tę kartkę oddaje się potem na komorze celnej, a rewizor, wyszukawszy sobie odnośny protokoł, udaje się do oglądnięcia i przetrząsania kufrów pasażera. Gdyśmy się załatwili z protokołem, pobiegliśmy co prędzej na pokład, bo już się statek zbliżał do portu. Po obu stronach horyzontu jaśniały wzgórza śniegiem pokryte, nie mające zresztą żadnego uroku. Przed nami wznosił się posąg olbrzymich rozmiarów, to statua wolności, umieszczona już w samej zatoce Nowo-Yorskiej. Jestto niewiasta trzymająca w ręku pochodnię. Rzeczywiście nie robi ona tego wrażenia, na które jest obliczona — jestto kolos, ale poza tem nic więcej. Że zaś jest kolosem, można się przekonać choćby z tego, że schody prowadzą aż do samej głowy, a jamami ocznemi można spoglądać na otwarte morze. Nas jednakże mało zaciekawiła ta olbrzymia figura, ten gorączkowy ruch w porcie; nam jedna tylko myśl chodziła po głowie: czy też X. Nawrocki wyjechał po nas do Hoboken, tj. do miejsca lądowania okrętu. Gdyśmy się zbliżyli do doku, powitały nas radosne okrzyki, powiewania chustkami i nawoływania. Niestety, ani jeden z tych rodzajów powitań nie był przeznaczonym dla nas! Nasi współtowarzysze podróży już z daleka upatrywali twarze znajomych i powiewaniu chustkami nie było końca. Myśmy też wytężali źrenice, a właściwie czynił to X. Trawniczek, bo on jeden tylko z nas trzech

znał osobiście X. Nawrockiego. Po długiem wypatrywaniu zwraca się do mnie rozczarowany i powiada: niema go. Co tu teraz robić, gdzie się obrócić? Przyjechaliśmy do milionowego miasta, i odrazu osiedliśmy na bruku! Został nam wprawdzie nas poczciwy mentor, X. Rynda; ale ten przecie nie mógł się dla nas poświęcać dłużej, bo czekała go jeszcze trzydniowa podróż koleją. Wśród tych czarnych i przygnębiających myśli zeszliśmy po spuszczonym pomoście do hali celnej i tam oczekiwaliśmy zniesienia naszych pakunków, rozglądając się ciągle, czy jeszcze nie nadejdzie X. Nawrocki, ale napróżno. Skoro mieliśmy już wszystkie pakunki razem, udaliśmy się z naszemi karteczkami do nadinspektora celnego, który wyznaczył trzech rewizorów celnych dla przetrząśnięcia naszych kufrów. Przewidywania owego Alzatczyka spełniły się rzeczywiście, dostaliśmy nader grzecznych rewizorów; cała rewizya skończyła się na tem, że pootwieraliśmy swoje kufry, rewizor powiedział: „All right Father“ i kazał zamknąć. Za to mieliśmy dość sposobności przekonać się, jak skrupulatnie przetrząsają oni pakunki ludzi świeckich. Tuż obok mnie miał kufer swój jakiś staruszek; biedaczysko musiał całą jego zawartość wyłożyć na ziemię, a rewizor kazał sobie otwierać każde pudełeczko. Opodal znowu stały trzy panie sponsowiałe aż po same uszy, bo rewizor bez najmniejszego zażenowania się przewracał w ich kufrach i rozrzucał przybory toaletowe. Objaśnił nas X. Rynda, że oni są tak bezwzględni dla tych, którzy nie koniecznie zgodny z prawdą zeznali protokół. Oczywista, że skoro znajdą jakąś rzecz podlegającą cłu, a nie wyszczególnioną w protokole, karzą bez litości. Widzieliśmy kilku takich delikwentów, — prowadzono ich do osobnej komory celnej, gdzie im doraźną wymierzano karę — oczywiście nie cielesną; robili na nas wrażenie skazanych na szubienicę. Zwłaszcza jeden wyglądał pociesznie, bo dotychczas znaliśmy go tylko ze strony humorystycznej; był to jakiś dowcipniś, który nas wszystkich bawił całymi wieczorami. Teraz gdy szedł po wymiar kary, miał prawdziwie minę rozpaczliwą. I choć nasz

los nie był do pozazdroszczenia, musieliśmy się mimowoli przyłączyć do wybuchów śmiechu patrzących nań współtowarzyszy podróży. Po rewizyi nadaliśmy pakunki towarzystwu ekspressowemu pod adresem X. Nawrockiego, a potem nie mając innego wyboru, poszliśmy z X. Ryndą na parowiec przewozowy, zwany ferry, celem dostania się do Nowego Yorku, bo dotychczas byliśmy jeszcze w Hoboken. Przyjechaliśmy do miasta już wśród ciemności koło godziny 6-tej i zaledwo postawiliśmy nogę na ląd, znaleźliśmy się wśród tłumów ludzi. Ze zdziwieniem patrzeliśmy na te fale ludu, bo coś podobnego można u nas widzieć tylko podczas procesyi. Chodniki były tak szczelnie zapchane, że ani mowy było o wyprzedzeniu kogoś, ale trzeba było iść miarowym krokiem razem z innymi. Tak byliśmy pochłonięci tym widokiem, że wcale niezauważyliśmy ciekawych spojrzeń, jakie na nas rzucali przechodnie, niektórzy nawet przystawali, by się lepiej przypatrzeć tym cudakom zamorskim. Dopiero później domyśliliśmy się, co było przyczyną tej ciekawości. Oto ja i X. Waszke mieliśmy tak napchane kufry, że futra się w nich nie pomieściły; zarzuciliśmy je więc na siebie i tak kroczyli przez miasto. U nas niktby nie zwracał na to szczególniejszej uwagi, ale w Nowym Yorku futra należą do białych kruków; noszą je tam tylko wielcy bogacze i ci, którzy je przywieźli z kraju. Tutaj, nawet takie skromne futro jak moje, kosztuje z górą 200 dolarów, tj. przeszło 1000 koron. Gdy tak kroczymy wśród tłumów nieprzeliczonych, podziwiając się wzajemnie, słyszymy, że ktoś po polsku pyta, czyśmy księża ze „starego kraju". Na odpowiedź potwierdzającą przedstawia się jakiś człowiek jako organista X. Nawrockiego, a tuż za nim jest i sam ksiądz proboszcz. Żeby się przywitać, musieliśmy zejść z chodnika, bo fala ludu zaczęła nas popychać. Jaką była nasza radość z tego szczęśliwego spotkania się, to trudno opisać. Odrazu nam spadł kamień ze serca i zdawało nam się, że teraz już koniec wszystkim kłopotom. Niedługo rozstał się z nami X. Rynda, który udał się na noc do hotelu. Żegnaliśmy go serdecznie i dziękowali

szczerze za jego opiekę nad nami w czasie podróży, i nie zdziwi chyba nikogo, jeśli się przyznam, że kręciły mi się w oczach łzy wdzięczności; bo gdyby nie on, naprzód przy cle nie bylibyśmy sobie dali rady, a powtóre, musielibyśmy pozostać w Hoboken na noc, bo nie znając miasta olbrzymiego, byłoby zuchwalstwem puszczać się wśród ciemności bez przewodnika do takiego labiryntu. O innych jego usługach dla nas już powyżej wspomniałem. Idąc drogą, dowiedzieliśmy się, że kolacyę będziemy jeść w restauracyi (nawiasem mówiąc, niektórzy księża tutejsi uważają sobie za szczyt gościnności zaprowadzić gościa na obiad lub kolacyę do restauracyi — co kraj to obyczaj!) dalej dowiedzieliśmy się, że będziemy spać w zimnych pokojach, bo zaprowadzają u X. Nawrockiego ogrzewanie centralne, a majster spóźnił się z robotą, i wreszcie, że jest dla mnie telegram z Krakowa; był to ów telegram X. Wizytatora, który mi nakazywał udać się natychmiast do biskupa Hartfordzkiego. Doszliśmy wreszcie do gościnnych progów restauracyi, a czas już był aby gdzie spocząć, bo jak wspomniałem, dźwigaliśmy na sobie futra i płaszcze zimowe. Jak na zimę amerykańską było to trochę zadużo dobrego, nie dziwota zatem, że poprostu pływaliśmy w potach. Na kolacyę zaordynował nasz nowy opiekun zupę żółwiową, jakąś rybę z ziemniakami i zapłacił za tę bagatelę 8 dolarów, tj. koło 40 koron. Aż nam włosy na głowie stanęły! Myślę sobie: wcale ładna perspektywa na przyszłość!

X. Głogowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

SPRAWOZDANIE Z MISYJ

odprawionych przez

XX. MISYONARZY Z KRAKOWA,

z Domu Kleparskiego

przedłożone

JMC. X. JÓZEFOWI KIEDROWSKIEMU,

Wizytatorowi Prowincyi Polskiej.

Najczcigodniejszy Księże Wizytatorze!

Rok 1903 już dawno zamknięty, jużeśmy i połowę następnego szczęśliwie przebyli, a mnie jakoś trudno było dotąd zabrać się do sprawozdania z prac naszych z tego czasu. Rychlejszemu spełnieniu tego obowiązku przeszkodziły to ustawiczne prawie wyjażdżki, to znowu różnorodne liczne zajęcia. Opowiadania o naszych misyach przerwałem na roku 1902; odnośne sprawozdanie moje zamieściła redakcya *Roczników obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego à Paulo* w ostatnim numerze na r. 1903. Od tego czasu nagromadziło się materyału wiele; aleć po półtora roku ileż to szczegółów z pamięci wyleciało, ile wrażeń się zatarło! Co pamiętam, to na pociechę X. Wizytatorowi i Szanownym Konfratrom napiszę, ograniczając się jednak na r. 1903, bo czasu za mało.

Strumień (Schwarzwasser).

Jestto miasteczko ładne, nad Wisłą położone, na pograniczu Śląska austryackiego. Jeszcze w r. 1899 daliśmy tu misyę poważną, która jednak dziwnym jakimś trafem, czy zbiegiem okoliczności osobnego sprawozdania się nie docze-

kawszy, prawie zupełnie u nas poszła w niepamięć. Z okazyi złotego jubileuszu kapłaństwa ś. p. X. Wizytatora Soubieille pod koniec czerwca 1899 r. roiło się na Kleparzu od Konfratrów, przybyłych z rozmaitych domów na tę rzadką uroczystość. Wtenczas właśnie przyszło zaproszenie od X. Antoniego Olszaka, proboszcza w Strumieniu, by w jego parafii poważną misyę dali nasi Konfratrzy. Tak się sprawy dały ułożyć, żeśmy się zebrali sami bywalcy, jako to: X. Kamiński i niżej podpisany, obydwaj z Kleparza; X. Tyczka i X. Krzyszkowski, obydwaj z Jezierzan. I tak we czwórkę daliśmy tu misyę ośmiodniową od 2-go do 10-go lipca. Czas był fatalny, bo przez całą prawie misyę deszcze ustawicznie lały; Wisła wystąpiła z brzegów, zalewając drogi, pola i łąki; na brak frekwencyi jednak nie można było się żalić. Opowiadali nam ludzie, że podobne psoty wyprawia im tu Wisła dosyć często — to są do nich przyzwyczajeni. Jeżeli im jednego lata woda zasiewy poniszczy, to na drugi rok obrodzi wszystko jak nad Nilem w Egipcie; a chociaż drogi pozalewane, to mają czółenka, deski pozbijane — i niemi się z miejsca na miejsce dostają. Na misyę pomimo takich trudności licznie się gromadzili, a kiedyśmy ich żałowali, to odpowiadali z uśmiechem, że im nic bieda nie zrobi. W czasie misyi (jak to był dawniej zwyczaj) miało się odbyć błogosławienie dziatek i niemowląt. Kiedy matki szły z dziećmi do kościoła, woda jeszcze była nie wielka — dało się obejść; tymczasem nagle Wisła wezbrała i zalała całą okolicę. Żal nam było biednych matek i trwoga nas przejmowała, jak się z powrotem przedostaną? Niezadługo jednakże przypłynęli aż pod sam kościół mężowie z tratwami, czółnami itd. — i zabrali wszystkich do domu. Księża sąsiedni licznie się gromadzili z pomocą w słuchaniu spowiedzi, a po całodziennej pracy bawił wszystkich miejscowy wikaryusz (czyli jak tu nazywają „paterek“) X. Edward Wolny swymi morawskimi dowcipami. Wyspowiadaliśmy przeszło 4000 narodu.

Dla miejscowej inteligencyi, która z mody niemczyzną się lubi popisywać, powiedział X. Tyczka niemiecką naukę.

Prócz miejscowych parafian przybywali małemi gromadkami sąsiedzi z austryackiej strony, a jeszcze liczniej z pod pruskiego zaboru: z Niemieckiej Wisły, ze Studzianki, z Pszczyny itd.

Kobiety (jak prawie wszędzie) bardzo się tu lubią bajkami trudnić: nabożeństwo się zaczęło, a one gromadkami stoją i precz swoje bajeczki i plotki kończą. Znieść tego nie mógł X. Wolny. Spotkawszy pewnego razu przed kościołem taką gromadkę bajczarek, kazał im z wikaryjki kilka stołków wynieść, żeby im było dogodniej gwarzyć. Kobiety to zauważywszy, zemknęły czemprędzej do kościoła i od tego czasu już znacznie mniej przed kościołem stawało. Wieczorem o godzinie 9 co dzień odzywał się największy dzwon z wieży kościelnej, wzywając na pacierze o nawrócenie zatwardziałych grzeszników. Może i tej modlitwie przypisać należy, że dziwnie miękły najtwardsze serca. Nałogowcy, od dawnych lat w grzechach zagrzebani, przychodzili na nauki, a potem i do konfesyonałów. Już kilka parafii przerzuciliśmy na tym Śląsku, a chyba nigdzie nie zauważyliśmy, żeby lud tak się rozruszał, jak tu w Strumieniu.

Troskliwy pasterz tej parafii uważał dobrze, co się to porobiło z jego owieczkami. Jak z jednej strony najmniejszy znak zmiany ku lepszemu cieszył go bardzo, tak nie mógł bez obawy patrzeć na to, co szatan i jego zwolennicy usiłowali zrobić, żeby mu znowu parafię popsuć. Jeszcze w grudniu r. 1902 tak pisze do nas:

„W lipcu b. r. upłynęły 3 lata od misyi w Strumieniu. Owoce tej misyi były z początku największe, lecz później wielu mianowicie za namową gospodzkich (kramarzy) i im podobnych narzędzi do starych swoich nałogów wróciło. Aby i z tych jeszcze niektórych Bogu pozyskać, zamierzam w ostatnie 3 dni mięsopustu nadchodzącego urządzić odnowienie misyi. Zwracam się przeto do XX. Dobrodziejów z zapytaniem, czyby 3 Ojców tej pracy nie zechciało się podjąć? Nie radbym zaczynał z innymi księżmi. Gdyby OO. Misyo-

narze krakowscy tego roku w ostatki przybyć nie mogli, przeczekam raczej jeszcze rok“ itd.

Nie było co czekać. Otrzymawszy takie wezwanie a przytem czas jeszcze misyami niezajęty mając, podjęliśmy się pracy i ruszyliśmy do Strumienia, jak do swoich. Rozgłosu wielkiego o naszem przybyciu X. Dziekan Olszak nie robił, obawiając się, żeby kramarze tego nie nadużyli do swoich celów, odwodząc słabsze umysły od udziału w renowacyi. Mieliśmy zamiar tylko oderwane kazania głosić po 3 dziennie, zaczynając dopiero w niedzielę na prymaryi; ale już na pierwsze Nieszpory w sobotę tyle narodu przyszło, że było do kogo przemówić — i odtąd przez całe 3 dni kościół od rana do wieczora był przepełniony, a ze spowiedziami nie mogliśmy dać rady. Sąsiadów X. Dziekan nie prosił, bo ani przypuszczał, że tyle przyjdzie. W niedzielę mieliśmy 3 nauki, w poniedziałek i we wtorek po 2. Od rana do wieczora codziennie SSmum wystawione jak w czasie 40-godzinnego nabożeństwa bywa. Wspaniale się tu Sumy odprawia — z okadzeniem na Introit, Ewangelię i Offertorium; a wieczorna konkluzya nabożeństwa bardzo nam się podobała. Suplikacye śpiewają tu w ten sposób, że kapłan, trzymając SSmum w monstrancyi obrócony ku ludziom, zaczyna sam każdy wiersz, a potem lud to samo powtarza za nim — to coś wspaniałego!

Nauk powiedzieliśmy 8, wyspowiadało się 1500 osób. Było nas trzech: XX. Kamiński, Krzyszkowski i ja; w środę popielcową dnia 26 lutego wróciliśmy na Kleparz.

Niedźwiedź.

Oj! nie ma to jak Misyonarzem być: raz po raz innych się napotyka ludzi, nad innymi pracuje, raz po raz inne widzi zwyczaje i obyczaje. W samym tym np. 1903 r. gdzie nas to Opatrzność Boża nie zawiodła! Dopiero był Śląsk, to znowu górale od Limanowej, to Mazury nad Wisłoką, to znowu żywieccy górale i fabrykanci od Bielska, ażeśmy ten wianuszek szczęśliwie zawiązali, łącząc jeden koniec z dru-

gim — i to tam, gdzie się zaczęło tegoroczną gonitwę — na Śląsku austryackim: Strumień i Bogumin, to dwie granice naszych exkursyi z tego czasu.

Po powrocie ze Strumienia zaledwie się nieco wypoczęło, już trzeba było myśleć o dalszym marszu. Wypadła teraz misya w okolicy odludnej, odciętej od świata, w Niedźwiedziu, parafii rozległej, dosyć licznej a porozrzucanej wśród gór i lasów nad potokami — prawdziwy niedźwiedź — *omen nomen,* co po lasach siedzi a dopaść go trudno. Podobna też do myśliwskiej była wyprawa nasza na ten Niedźwiedź. Jużeśmy prawie cały limanowski powiat z misyami objechali, słyszeliśmy o Niedźwiedziu wiele — a tak trudno było go znaleść. Dopiero kiedy proboszcz tamtejszy przybył do nas, poinformował, jak jechać, jakoś się jaśniej w głowach zrobiło. W Krakowie przybraliśmy X. Trawniczka i tak razem we czwórkę w sobotę wstępną ruszyliśmy do Niedźwiedzia. Jadąc koleją, napotykaliśmy po drodze kramarzy, którzy pomimo swej rozległej geograficznej wiedzy jednak musieli Niedźwiedzia szukać. Co jeden to gdzieindziej swoje paki nadał: jedni do Suchy, inni do Chabówki, inni aż do Limanowy, a tu do Niedźwiedzia najlepiej przez Mszanę dolną trafić.

Pod wieczór stanęliśmy wreszcie w Niedźwiedziu a misya zaczęła się dopiero nazajutrz na Sumie solennie. W starych księgach podana jest ta parafia pod nazwą „P o r ę b a“; lud też po dziś dzień inaczej nie powie, tylko „ż e s ą z P o r ę b y“, jakby się wstydząc nazwy „Niedźwiedzia“. Parafia, jak się rzekło, rozległa, po samych potokach, wertepach niedostępnych ciągnie się przeszło 3 mile aż pod Kamienicę; najbliższe sąsiedztwo Olszówka, ale połączenie stanowi droga tak fatalna, że zwykle tędy pieszo idą, a komu przyjdzie fantazya wozem się puścić w tę drogę, to bierze ze sobą worek na kości. Ziemia tu jeszcze miejscami nietykana; za to wszędzie znać żelazną i systematyczną rękę ś. p. X. Dziekana Kempnera, który przez długie lata pasterzował w tej parafii. Gorliwą i sumienną pracą udało mu się

wiele złego wykorzenić, lud do kościoła przyciągnąć, ale też i wiele chwastu zostało — temu bodaj czy i misye zaradzą? Szkoły ludowe z wielkim wysiłkiem udało się c. k. Radzie szkolnej zaledwie w 2 gminach zaprowadzić; inne wioski bronią się jak przed największem nieszczęściem. Stąd analfabetów jeszcze całe zastępy, a który czytać umie, to się nauczył nie w szkole, ale od prywatnych nauczycieli. Z tem wszystkiem nie jest to naród ciemny, zidyociały: owszem sprytny, przebiegły, żeby i Ormianina niejednego oszukał, a częste stykanie się z żydami pokierowało tym właśnie przymiotem w stronę ujemną. Niedawno przed misyą np. zaszedł tu fakt następujący: Dwaj tutejsi parafianie mieli po kawałku lasu do siebie przytykającego. Jeden z nich poszedł do lasu sąsiada swojego, zrąbał mu najpotężniejszą jodłę, obrobił — i wieczorem chce jak swoją do chałupy ściągnąć a miał tylko jednego konia. Gdy tym koniem nie mógł jodły uwlec, idzie do sąsiada, właściciela lasu i jodły, i prosi go, by mu swego konia pożyczył. Ten nie domyślając się podrywki, wyprowadził konia ze stajni, usłużył sąsiadowi. Nazajutrz idzie sam do lasu, patrzy, a tu jego najpiękniejszej jodły brak... dopiero się spostrzegł. Takie i tym podobne sprawy są tu na porządku dziennym. Chłopcy już z misyi po swoich naukach wrócili do domów, a po nich przyszli gospodarze. Ci idąc pewnego dnia z kościoła, zauważyli, że jakiś podrostek wlecze na kółkach dwa potężne świerki i to od strony plebańskiego lasu. Przytrzymali go; pytają, skąd wlecze drzewo? Odpowiada flegmatycznie, że też Jegomości te patyki zrąbał. Jak to — teraz, w czasie misyi? — A no, powiada, jak wszyscy ludzie w kościele, to najlepiej „sztuki“ po lasach się udają!...

W jednej znowu z okolicznych wiosek domagała się c. k. Rada szkolna budowy szkoły; chłopi zasłaniali się tem, że biedni, że nawet placu na szkołę nie mają. Wtem jeden z nich (wójt) wpadł na ciekawy pomysł: miejscowego dziedzica tyle z radą swoją molestował o kawałek ziemi rzekomo na budowę szkoły, aż przecież wypukał. Jeszcze szkoły nie

postawiono, a on tak zgrabnie umiał się zakręcić, że ten sam kawałek ziemi darowany, żydowi na karczmę za 300 złr. sprzedał i żyd powoli już się zaczął budować.

W samym Niedźwiedziu mieszka żyd, kiedyś gruby mecenas, dziś bardzo podcięty. Przez szereg ostatnich lat miał szynk w pobliżu plebanii i kościoła, a żona jego prowadziła sklep bławatny. Przyszła niedziela, ludzie powychodzili z kościoła; żyd swoje, żydówka swoje kompanie prowadzili: żyd brał chłopów na poczęstunek, żydówka wabiła baby na modne chustki. Potem się kompanie zmieniały: baby szły do żyda chustki „oblewać“ — a podpici chłopi przychodzili znowu do żydówki, żeby przecież coś kobiecie z Poręby przynieść. O zapłatę żyd nie nalega; aczkolwiek dobrze a nawet za dobrze wszystko żydziska notowały. Do tego doszło, że jednej wsi włościanie coś na przeszło 30.000 złr. u tego żyda wisieli — a to biedaki na skałach siedzą. Żyd wpakował im się na hipotekę, z tego procesów bez końca, a za każdy termin prócz przegranej odnośna strona po 4 złr. musiała mu płacić. Niedługo przed misyą wybuchł pożar u tego żyda z przyczyn dotąd niewiadomych i wtenczas popaliły mu się księgi rachunkowe do szczętu. Nadeszła misya, ślubowali wszyscy masami; no! przecież jutrzenka lepszej dla Porębian doli zajaśniała. Żyd się odgrażał, że jeżeli po dawnemu pić nie będą, to procesy wznowi; ale z tych strachów nic: chłopi miarkują, że żyd nie ma broni przeciwko nim — to strachy na lachy!...

Obecny X. prob. kan. Dr. Mrugacz, nim objął pasterzowanie w Niedźwiedziu, był katechetą gimnazyalnym, profesorem i wicerektorem Seminaryum duch. w Tarnowie. Przybywszy tu w charakterze proboszcza, z całą gorliwością zajął się utworzeniem kółka rolniczego i katolickiego sklepu. Niestety! zawsze się sprawdza i doświadcza, że największymi nieprzyjaciółmi człowieka są jego domownicy, najbliżsi, swoi. I tu parafianie, zbratani ze żydami, przytem rozpici, sami się najwięcej przyczynili do tego, że kółko wkrótce popadło w bankructwo, a proboszcz w tej całej aferze wszystkie

swoje oszczędności stracił. Radzono mu, żeby wprzód przez misyę fundament położył, a na nim dopiero swą pracę socyalną oparł, aleć Polak dopiero po szkodzie mądry.

Trafiliśmy z misyą na sam post, któregośmy się też tu z całą ścisłością trzymali. Misyę rozłożyliśmy na cztery stany: trwała od 1 do 17 marca. Księżom sąsiadom prawie nie podobna było z pomocą się dostać (tak dziko, niedostępnie Niedźwiedź położony); najwięcej wspierali nas w słuchaniu spowiedzi zacni sąsiedzi ze Mszany i Olszówki — inni chwilami wpadali. Wyspowiadało się: kobiet 1500, dziewcząt 900, chłopców 900, gospodarzy 1200, a ślubowało: kobiet 1200, dziewcząt 800, chłopców 850 i chłopów 1000. Ogółem wyspowiadanych 4.500, ślubowanych 3.850 — więc prawie wszyscy, za co należy się: *Deo gratias!* Ślubowanie poważnie tu biorą, bo z okolicy doszły świeże wiadomości, jak Bóg karze tych, co sobie słowo Mu dane lekceważą. Warto na tem miejscu aby dwa wypadki tego rodzaju przytoczyć, o których opowiadają sobie ludzie.

W miasteczku Czchowie dawali niedawno temu misyę OO. Redemptoryści i jeden z zagorzałych pijaków razem z innymi ślubował. Kiedy do domu wracał, wciąga go żyd, dawny znajomy, do karczmy i nalega, żeby się gorzałki napił. Chłopisko się broni, że ma surowo zakazane pić gorzałkę. „Jeżeli pić zakazali — powiada szyderczo żyd — to jeść wolno“, a to mówiąc, wylał nieco gorzałki na miseczkę, podał chłopu łyżkę — „jedzcie!“ Usłuchał chłop tej sofisteryi; ale skoro tylko zjadł, porwały go kurcze, boleści straszne tak, że w karczmie życie zakończył, a żyd trupa do stajni wyrzucił.

W Wielopolu pod Nowym Sączem było kilkanaście dziewcząt zajętych przy żniwie. Na podwieczorek wyniesiono im po kieliszku gorzałki. Nie chciały pić, bo wszystkie ślubowały na misyi w Jazowsku. Jedna lekkomyślna porywa za kieliszek i powiada: „Choć się napiję, to mnie przecież d..... nie wezmą“... Po napiciu się natychmiast chwyciły ją boleści straszne, wśród których za kilka minut życie na polu skończyła. Dziewczęta w strachu pouciekały; trup został przez

noc na polu. Na drugi dzień przyjechali po ciało i z przestrachem zobaczyli ubranie na trupie potargane, włosy z głowy powyrywane, język z ust wydarty położony na zwłokach.

Myśmy im wskazywali na rozpaczliwy ze wszech miar stan, do którego przez pijaństwo doszli, i to było dla tutejszych parafian wystarczającą pobudką, żeby chociaż resztki majątków ratowali przez ślubowanie; te zaś groźne zdarzenia były dla nich przestrogą, żeby przyrzeczeń swoich lekko nie brali.

Oprócz pijaństwa były tu i inne wady do wytępienia: kolizye, zawikłania w pożyciu; było kilka par małżeństw niezgodnych — te się udało połączyć z wyjątkiem jednej pary. Obydwie strony zawzięte nie chciały naszych perswazyj przyjąć; sam P. Bóg między niemi zgodę zaprowadził wkrótce po misyi, jedno z nich do siebie powołując. Było znowu kilka par dziko żyjących i to haniebnie, że chyba i u pogan trudnoby było coś podobnego znaleść, np. ojczym z pasierbicą. Upominaliśmy takich w kancelaryi; przecież poprawę przyrzekli, rozęszli się; to znowu wójtom się nakazało, żeby ich pilnowali i do podobnych zdrożności nie dopuszczali. Parafia liczna, rozrzucona, szkół brak — to i łatwo zrozumieć, że poziom wykształcenia bardzo nizki. I faktycznie rzadko znaleść parafię tu na zachodzie, żeby tyle było pół- czy ćwierć-główków jak w Niedźwiedziu. Ciekawe to okazy; z nauki religii wielu nawet pacierza nie umiało, o artykułach wiary ani pojęcia. Żeby ich można było ze spokojniejszem sumieniem wyspowiadać i rozgrzeszyć, odsyłaliśmy ich na naukę do kościelnego. Mądry to człowiek, przytem usłużny — chętnie się tego urzędu podjął. Gdyśmy rozumniejszych w kościele spowiadali, on tych nieuków na cmentarzu pouczał. Niektórzy i pojęli — wyuczyli się jak do ślubu; z innymi trudna sprawa. Żeby i tych biedaków bez pomocy nie zostawić, zbieraliśmy kółka żywego Różańca, a każde kółko otrzymało 1 egzemplarz „Wykładu“ X. Gawrońskiego. Zelator miał co niedzielę i święto zbierać u siebie swych członków, czytać im tę książkę, a nadto tych biednych nieuków

wyszukiwać i pouczać. Po misyi słyszeliśmy, że miejscowi księża najusilniej tę sprawę poparli, nietylko podtrzymując te początki czytelni katolickiej, ale nadto rozrzucając między lud całemi masami małe katechizmy. Prawie równocześnie z tą misyą (czy nieco później?) zaczęto we Lwowie wydawać *Gazetę niedzielną*, tak praktyczne i pożyteczne dla ludu naszego pisemko; tu odrazu rozchwytano tę gazetkę. Niby nie było czytających, a przecież na poczekaniu się znaleźli. Róż takich, jak wyżej wspomniałem, zawiązało się przeszło sto; a jak naród zasmakuje sobie raz w czytaniu uczciwem, to o gorzałce i zbytkach ani pomyśli. Wogóle wiele dobrego ta misya w Niedźwiedziu odbyta zapowiada — daj Boże, by było jak najwięcej! Dnia 18 marca wróciliśmy na Kleparz.

Książnice.

W Krakowie aniśmy się na dobre nie rozpakowali, a już w sobotę dnia 21 marca wypadło jechać w inną stronę; zostawały jeszcze trzy misye z przyczynkiem przed świętami, wszystkie około Mielca w dyecezyi tarnowskiej. X. Kamiński, nasz senior, wypoczął tymczasem na Kleparzu; a tuśmy się wybrali w trójkę: XX. Krzyszkowski, Trawniczek i ja. Jakoś ładnie się te misye poskładały, bo przed i po święcie św. Józefa wypadło nam pracować u samych Józefów proboszczów: w Niedźwiedziu X. Dr. Józef Mrugacz, tu w Książnicach X. kanonik i dziekan Józef Michalik, w Zgórsku X. Józef Kowalski, w Jastrząbce X. kan. Józef Zielonka.

Do Książnic przybyliśmy około południa dnia 21 marca i zaraz po południu tegoż dnia zaczęliśmy pracę na „Gorzkich żalach“. Lud tu ładny, strojny, pobożny i moralny; ale jak się od górali przyjedzie w te ciężkie piachy, dziwnie różnica odczuć się daje. Zrobią wszystko, co im zalecić, na nabożeństwo przyjdą; ale powoluteńku — jak za umarłym. Niedługośmy ich tu trapili; parafijka mała, sąsiadów wielu i to blizko — więc i pomoc w słuchaniu spowiedzi mieliśmy zapewnioną. Wzięliśmy wszystkie stany odrazu i przez trzy dni wyspowiadaliśmy przy pomocy zacnych XX. kondekanal-

nych 1700 osób, ślubowało coś 1000. Ta ostatnia sprawa szła tu dosyć tępo: nie wiele piją, ale też ślubować nie chcą. Dnia 25 marca postawiliśmy krzyż misyjny popołudniu, a rano na Sumie oddaliśmy parafię i pracę naszą opiece Najśw. Maryi Panny.

Zgórsko.

Nazajutrz dnia 26 marca rano przeprawiliśmy się stąd do Zgórska. W r. 1896 daliśmy tu misyę 16-dniową, potem była w r. 1898 poprawka 8-dniowa; z Wadowic górnych tuśmy prawie co drugi dzień na spacer chodzili, a teraz ściągnął nas proboszcz po to: 1) żeby się nami ucieszyć a my nim, bo to nasz serdeczny przyjaciel, jakiemu podobnych daj Boże najwięcej; 2) żeby mu nieco naród przy wielkanocnej spowiedzi odświeżyć, rozruszać; 3) a na pamiątkę pobytu stacye Drogi krzyżowej zaprowadzić. O Zgórsku wiele też drukowały *Roczniki* nasze z lat poprzednich.

Wszystkie trzy wyżej wzmiankowane przybycia naszego cele mieliśmy na uwadze i staraliśmy się jak najlepiej im odpowiedzieć. Do Zgórska zajechało się jakby do siebie. Proboszcz biedny sam zamieszkał w starej ruderze, plebanii jeszcze kiedyś w XVII. wieku budowanej, a nam ustąpił wikaryjki elegancko odrestaurowanej. Jak się nami cieszył a my nim, o tem nie ma co wspominać. Do ludzi powiedzieliśmy siedm nauk: jedną wstępną a przez trzy codzień po dwie nauki. Wyspowiadało się przy pomocy życzliwych sąsiadów przez te trzy dni 2250 osób, aż na końcu penitentów do spowiedzi brakło. Do czego to można lud nasz doprowadzić uczciwą i sumienną pracą przy Boskiej pomocy!

Na niedzielę Bożej Męki 29 marca przypadła konkluzya naszej pracy i zarazem zaprowadzenie Stacyj na „Gorzkich żalach“. Pogoda śliczna sprzyjała w tym dniu; sąsiad z Wadowic górnych X. prob. Łukasiński przyprowadził swoich parafian procesyonalnie na tę dosyć rzadką ceremonię. Mając od Generała Braci Mniejszych specyalne upoważnienie i załatwiwszy co potrzeba z N. Konsystorzem Biskupim, dopeł-

niłem erekcyjnego aktu. Po „Gorzkich żalach“ powiedziałem na cmentarzu naukę o nabożeństwie do Męki Pańskiej, a potem procesyonalnie poszliśmy na plebanię po Stacye. Gdy je do kościoła wniesiono, poświęciłem i rozwiesiłem jak w Rytuale przepisano.

Nazajutrz jeszcześmy nieco wyspowiadali niedobitków, a we wtorek dnia 31 marca pospieszyliśmy z pomocą do Wadowic górnych, gdzie był już zjazd księży kondekanalnych i spowiedź wielkanocna. Teraześmy mieli dobrą sposobność przekonania się, jak poskutkowała dla tutejszych parafian zeszłoroczna misya. Przez jeden dzień wyspowiadało się przeszło 1200 osób. Serca rozpływały się z radości, kiedyśmy mieli sposobność doświadczenia, jak to poczciwy, prawy lud w tak krótkim czasie się wyrobił — a i dla nas pociecha, że nas Bóg do tak pięknego dzieła zechciał użyć — oby kiedy i zapłata za to nam się dostała: *Qui ad iustitiam erudiunt multos, quasi stellae fulgebunt in aeternas aeternitates!*

(Ciąg dalszy nastąpi).

Parana, Thomaz-Coelho, 27 kwietnia 1904 r.

Czcigodny Księże Wizytatorze!

Łaska Pana naszego niech zawsze będzie z nami!

Wróciwszy z długiej wycieczki misyjnej na dwa dni do domu, pospieszyłem, by choć krótkie zdać sprawozdanie z odprawionych misyi wśród Polaków, rozprószonych w Paranie. Tym razem zapuściłem się już w głąb kraju, zwiedziłem najdalsze kolonie, natułałem się po borach brazylijskich, stałem się jednem słowem — z łaski Bożej — prawdziwym misyonarzem.

Na misye wyjechałem 1 lutego wraz z dwoma konfratrami brazylijskimi, z księżmi Quintao i Alves, oni dla Brazylianów, ja dla Polaków.

W Barrigny, na poblizkiej stacyi wsiadłem na pociąg idący z Kurytyby. Pasażerów było wielu, bo ruch na tej linii jest bardzo ożywiony; wśród nich spotkałem konfratrów Brazylianów. Niemców i grono Polaków. Polak Antoni Bodziak to dobry znajomy Ojca Franciszka Grzegdali z Buenos-Aires, to też szeroko mu opowiadać musiałem, co Ojciec Franciszek porabia.

W gronie miłych towarzyszy czas upływał szybko i przyjemnie, kolej nas tymczasem uniosła daleko w stepy Parańskie, aż do stacyi Restinga secca, skąd innym pociągiem pojechaliśmy do Porto Amazonas na rzece Iguassu, by wsiąść na statek. Mały parowiec „Matheus“ już czekał w porcie, by zabrać ze sobą pasażerów.

Rzeka Iguassu ma brzegi płaskie, porosłe krzakami, drzewami, trzciną i nie jest zbyt szeroka; tym razem wezbrała po wielkich ulewach i ustawicznych deszczach, woda szeroko się rozlała, a miejscami sterczały ostro zakończone skały. Robotnicy z parowca chwytali ryby na wędkę, inni ładowali towary na statek. Byli to prawie wszyscy Polacy i Rusini, zarobek na statku dobry i pewny, a praca niezbyt uciążliwa. Wśród swoich czułem się zupełnie swobodny, a podróż zapowiadała się dobrze.

Pierwsza stacya misyjna była w Rio dos Patos, 18 mil od Porto Amazonas.

Dano znak raz i drugi i parowiec, oddalając się zrazu zwolna od brzegu, a potem jednostajną już chyżością pruł wody Iguassu, gdzie przed laty spokojnie płynęli Indyanie na swoich kanoach.

Z pasażerów był tylko jeden Polak z kolonii Sao Matheus i Niemiec, właściwie Szwajcar, człowiek już podeszły ale ujmującej powierzchowności, zwinglianin i mason zarazem. Chłopcem przyjechał do Brazylii i już 50 lat tu mieszka, zrazu w stanie Santa Catharina a później w Paranie. Obeznany na wskróś z stosunkami parańskimi; w szkołach się nie kształcił, ale oczytany, i w ten sposób przyswoił sobie mnóstwo wiadomości z każdej niemal gałęzi nauk a zwłaszcza zoologii i botaniki. Słynie z tej nauki na całą okolicę, a w kwestyach spornych wśród ciemnej inteligencyi brazylijskiej jedyną jest powagą. Raz był w Europie, ale wrócił napowrót, piękna i urocza Szwajcarya nie potrafiła go zadowolnić, wolał lasy amerykańskie i swobodę brazylijską.

Statek nasz pomykał naprzód, płynęliśmy mniej więcej środkiem rzeki. Dzień pogodny i słoneczny po kilku tygodniach słoty obudził jakby nowe życie we wszystkich, odżyła też cała przyroda. Malownicze brzegi Iguassu z jednej i drugiej strony porosłe są gęstymi krzakami i drzewami podobnemi do wierzby, a dalej ponad niemi sterczały olbrzymie sosny amerykańskie. Gdzieniegdzie tylko rozciągało się gołe

skaliste wzgórze lub stroma skała nadbrzeżna i odrazu zmieniała cały krajobraz.

Ptactwa wodnego jest bardzo wiele — co chwila płoszył statek całe stada nurków, kaczek i kurek wodnych. Zimorodków bardzo wiele — nazywają je martiń, czaplę czarną Jao (cz. Żwuaon) grande, czaplę białą garsa, dziką dużą kaczkę bigua, kurkę dziką saracura, mniejszą tovaca. Na piasku wygrzewały się trzy kapiwary t. j. świnie wodne z gatunku gryzoniów, zwierzęta to bardzo łaskawe i ociężałe; głupkowato się patrzały na przejeżdżający statek. Zresztą wokoło nie widać ani jednej skały, okolica pusta, tylko lasy i lasy. Gdzieniegdzie tylko przesunęło się wzgórze z dojrzewającą kukurudzą lub bydło zabłąkane jakby na znak, że mieszka gdzieś w pobliżu brazylianin tak samotny jak pustelnik w puszczy.

Tymczasem zapadła noc cudnie piękna. Miły orzeźwiający chłód rozlał się wokoło po gorącym dniu, cisza majestatyczna, przerywana tylko szumem wody, niebo pogodne, księżyc w pełni jako olbrzymia tarcza, wokoło tysiące gwiazd: Syriusz w zenicie, Capella ku zachodowi, obok niej Polux i Castor, a najjaśniejsze gwiazdy błyszczą w konstelacyi „krzyża“ na samem południu. Wszyscy odrazu po odkryciu Ameryki płd. zwrócili uwagę na tę właśnie konstelacyę. Amerigo Vespucci podczas trzeciej podróży 1501 r. spostrzegł ją pierwszy, ale nazwać jej nie umiał — chlubił się tylko, że widział gwiazdy, które dotychczas widzieli tylko pierwsi rodzice. Andrzej Corsali z Florencyi nazwał tę konstelacyę w r. 1517 cudownym krzyżem. Dawniej widywano tę konstelacyę w Europie także, Ptolomeusz widział ją w Aleksandryi, obecnie krzyż jest widzialny tylko na południowem niebie.

Do Rio dos Patos przyjechaliśmy krótko przed północą. Brazylianin Sebastyan Bastos, pisarz i urzędnik cywilny, czekał na nasze przybycie, było także kilku Polaków, którzy mnie chcieli odwieść zaraz do siebie na kolonię, ale odeszli smutni, że ksiądz polski nie zamieszka u nich lecz w mieście i to jeszcze u masona.

Byłem po raz pierwszy w domu brazylijskim. Cała rodzina składa się z czterech osób, rodziców i dwóch dorosłych panienek. Dwa tygodnie przepędzić w takim domu to ciężko i przykro, tylko szczęśliwy zbieg okoliczności wybawił mnie z kłopotu. Nazajutrz bowiem wczesnym rankiem zajechał wózek chłopski z kolonii polskiej, by mnie z sobą zabrać. Ponieważ już Polacy oczekiwali księdza w swoim kościele na kolonii i wręcz oświadczyli, że przychodzić nie myślą na misye do kościoła brazylijskiego, udało mi się wyjechać na kolonię i osobną urządzić misyę dla swoich.

Ludzi był już pełny kościół, wszyscy uradowani i szczęśliwi, że mają kapłana wśród siebie. Była to uroczystość Matki Boskiej Gromnicznej. Biedni płakali rzewnie, gdy im mówiłem kazanie na temat słów ewangelii: „teraz Panie wypuszczasz sługę Twego w pokoju — gdyż oczy moje oglądały zbawienie Twoje“. (Św. Łuk. roz. II.)

Ciężkie przetrwali czasy. Wielu poumierało na morzu, więcej w barakach, gdzie się długo ściskali, nim im wyznaczono grunta. Przez kilka lat nie mieli zupełnie kapłana, nikt ich nie karcił, nikt nad nimi nie czuwał, to też rozpili się na dobre, a z kłótni i niezgody zasłynęli na całą okolicę. Nie opuścił ich jednak Bóg, bo im posłał księdza świątobliwego w osobie Jakóba Wróbla z dyecezyi przemyskiej. Światły, a zarazem pobożny kapłan powoli ich poskromił, reszty dokazał przykład świętości i zupełnego wyrzeczenia się. Z wilków przemienili się w owieczki, z pijaków w tak trzeźwych ludzi, że nie miałem potrzeby ani wspominać o pijaństwie tak powszechnem u rodaków w Paranie. Tak pobożnych mężczyzn nigdzie jeszcze nie widziałem.

Rozpocząłem tedy misyę, która trwała pięć dni. Rodzin wszystkich jest tylko 80, wszyscy brali udział w misyi. Lud dobrze pouczony o obowiązkach religijnych, wszyscy znają doskonale katechizm, a dziecko dopiero po długiem przygotowaniu przypuszczone jest do pierwszej spowiedzi św. W kościele nikt nie przemówi — inaczej w kościele brazylijskim, pełno wrzawy i hałasu, przychodzą z psami i na głos rozmawiają.



BRAZYLIA — PARANA.

Filialny kościółek Matki Boskiej Bolesnej w polskiej kolonii Tomaz Coelho; podług fotografii.

Ksiądz Wróbel mieszka stale w Agua Branca, pięć mil od Rio dos Patos; tu dotąd tylko przyjeżdża raz lub dwa razy w miesiąc.

Pierwsze dni pracowałem sam od rana aż późno w noc. W każdy wieczór czekali już na mnie koloniści, musiałem im opowiadać o Polsce, o Krakowie, bo pewną mają nadzieję, że już niedługo a Polska powstanie i oni z tryumfem wrócą się do ukochanej ziemi ojczystej. Oby to tylko nie było złudzeniem! Śpiewają sobie pieśni narodowe, a ponieważ nut nie znają, sami dorabiają sobie melodyę — słynie z tego chłopiec Jan Ziembiński i siostra jego Stasia, z ich ust przechodzi melodya na całą kolonię. Biedne dzieci takby rade zobaczyć Polskę, bo ich tu nic nie cieszy, bo Brazylia to nie ojczyzna, ale wygnanie. Przywiązałem się całem sercem do tych poczciwych ludzi, wśród nich było mi jak w domu, codziennie znosili kawony, figi, winogrona, kury, jajka, była obfitość wszystkiego. Nadto prześliczna to okolica, a ziemia bardzo urodzajna. Wokoło bory, zwierzyny i ptaków wielka rozmaitość. Na naszej kolonii, z powodu braku lasów, znachodzą się tylko małe papugi tak zwane perekity i to rzadko, tu latają stada całe, pełno większych papug tak zwanych baitaca, u nas są tylko ptakami przelotnymi, wiele wreszcie papug wielkich tak zwanych marakana. Tukany są pospolite, srok, sojek z kształtu podobnych do naszych choć innego koloru, obfitość wielka.

Okolica bardzo urocza i pogodna, przyjemna i wesoła, trudnoby było znaleść kolonię piękniejszą.

W trzeci dzień nadjechał późnym wieczorem X. Wróbel, kochany przez wszystkich parafian. Praca szła raźno, już w sobotę była wspólna komunia św. Na niedzielę powrócił X. Wróbel do Agua Branca, pozostałem znowu sam na postawienie krzyża misyjnego. Była to uroczysta i rzewna chwila. Wielki imbujowy krzyż, spowity w kwiaty i w zieleń, obniesiono w uroczystej procesyi naokoło kościoła wśród śpiewu „Krzyżu święty nadewszystko“ i t. d. Wspaniała ta pieśń rozlegała się wokoło, blizki bór powtórzył ją tysiącznem echem.

Święte wzruszenie ogarnęło wszystkich! Nie tak dawno i na tem miejscu, gdzie stoi kościółek był las — dziś Opatrzność pozwoliła postawić pierwszy polski krzyż misyjny. Tak, to pierwszy polski krzyż misyjny na ziemi brazylijskiej! Byłem tu sam tylko ale czułem, że nasze maleńkie Zgromadzenie obchodziło wielki tryumf. Nie wiem, co się stało, ale na poświęceniu krzyża zrobił się wielki lament, rozpłakali się wszyscy jak dzieci, upadli na kolana i śpiewali: „Boże coś Polskę“. Tęsknota porwała wszystkich za rodzinnym krajem, u stóp krzyża misyjnego szukali ukojenia, tu błagali Boga o miłosierdzie nad Polską i powrót do ojczyzny. Bóg zapewne wysłuchał tak rzewnej modlitwy!

Równocześnie odprawiała się misya dla Brazylianów. Byłem na rozpoczęciu — zaledwie mała garstka się zgromadziła i to z ciekawości tylko, inni pozostali w domu lub grą w kasziolę się zabawiali na ulicy. Gra w kasziolę jest bardzo powszechna u Brazylianów — gra to bardzo prosta, bo polega na podrzucaniu pieniądza miedzianego w górę. Padnie pieniądz na ziemię błyszczącą stroną w górę, to już wygrana. Gra ta odbywa się na ulicy, co kilka kroków gromadka przysiadła na ziemi, a choć dzwony wołały na misyę, nikt nawet nie pomyślał o tem, by pójść do kościoła. Uderzyła mnie taka obojętność i martwota duchowna — później w ciągu misyi wielokrotnie się przekonałem, że to naród już stracony dla Boga i kościoła — bo już prawie wszyscy zapisali się do masoneryi i poprzysięgli sobie nie spowiadać się już nigdy. To też zadanie naszych konfratrów wyjątkowo trudne — praca daremna, bo nikt ich nie słucha, wszystko wyśmiewają i w żarty obracają.

Jaka jaskrawa różnica między naszymi a nimi: w kościółku polskim pełno ludzi na misyi, tu pusto, tam się garną do spowiedzi św. i ze łzami wyznają winy swoje, tu przychodzą tylko wieśniacy z lasów, co jeszcze ze wszystkiem nie zatracili wiary, ale z miejskich nie przychodzi nikt, bo grzechów nie mają, nie zabili, nie okradli nikogo, a zresztą

ksiądz to taki człowiek jak i inni — tylko Bóg grzechy odpuścić może.

Mają jeszcze jakie takie nabożeństwo do Ducha św. — ale nie mają o Nim żadnego pojęcia; na każdym prawie ołtarzu znajduje się jakiś ptaszek jakby w gniazdku, później dopiero domyśliłem się, że to gołąb, przedstawiający trzecią osobę w Trójcy Przenajśw. Do Sakramentu Bierzmowania przystępują dość licznie — u Brazylianów, podobnie jak u Rusinów, bierzmuje się także dzieci. X. Quintao ma przywilej bierzmowania na misyi — i cała misya brazylijska polega głównie na bierzmowaniu.

Po postawieniu krzyża misyjnego na kolonii, wróciłem napowrót do konfratrów i cały prawie tydzień przesiedziałem w domu brazylijskim. Wszystko inaczej niż u nas. Nie posiadałem języka na tyle, by gładko prowadzić rozmowę, ale rozumiałem już prawie wszystko i krótko odpowiadać musiałem. Był to czas karnawału — i w Brazylii ludzie szaleją. W tym czasie panuje tu obrzydliwy zwyczaj lania się wodą, wszystko więc leje się wodą. Dla księdza nie mają żadnego uszanowania, bez wszelkiego wstydu gospodarz, gospodyni i owe dwie dorosłe dziewczyny i nas polewać zaczęli. Nie przywykły do podobnej swawoli, oświadczyłem, że w Polsce jest nieznany podobnie obrzydliwy zwyczaj, że ksiądz to osoba nietykalna. Później się dowiedziałem, że mnie uważali za mniej delikatnego i mniej inteligentnego, skończyło się na tem jednak, że się już nikt do mnie w ten sposób nie zbliżył. Po każdym również obiedzie, jakby na deser, obsypał każdego gościa gospodarz lub gospodyni garścią confetti.

Już i konfratrzy postawili krzyż misyjny, praca była ukończona, nie mogliśmy się tylko doczekać statku, by dotrzeć do drugiej stacyi misyjnej. Rozpoczęło się na dobre składanie wizyt wszystkim tak zwanym inteligentnym Brazylianom. Chodziliśmy tedy rano i popołudniu, u jednych byliśmy na obiedzie, u drugich na kolacyi, a zawsze dawali nam po filiżance kawy. Gościa przyjmuje się wszędzie czarną kawą —

im gorętsza kawa tem chętniejsi są gościowi. Podać komuś kawę letnią, to znak, by jak najprędzej sobie poszedł. Kawa jest bardzo mocna, gdy więc musi się wypić kilka filiżanek takiej kawy na dzień, to pewnie naraża się człowiek na chorobę. Przychodzili i oni nas rewizytować — jedni grali na mandolinie, inni śpiewali, a młodzież puściła się w tany i tak tańczyli aż w późną noc. Taniec odmienny zupełnie od naszego, polega na podskakiwaniu, ciągła w nim monotonność, to znowu rozchodzą się wszyscy, każdy tańczy osobno, następnie łączą się zrazu poszczególne pary, a potem wszyscy razem tworzą jedną grupę tańczącą. W ten to sposób bawili misyonarzy w czasie pokuty!

Zauważyłem jedną tylko porządną i taktowną familię brazylijską w Rio dos Patos, rodzinę Ribasów; rodzina ta odbija od wszystkich, nie podobni nawet z fizyognomii do Brazylianów. Są naprawdę pobożni i religijni, umieją uszanować każdego kapłana, to też Polacy ich bardzo poważają, a oni im są nawzajem bardzo życzliwi. Jeden z nich Elizeusz Ribas tak doskonale i poprawnie mówi po polsku, jak rodowity Polak. Niektórzy Brazylianie naprawdę doskonale się wyuczyli naszego języka i ruskiego, po polsku mówią nawet niektórzy murzyni tutejsi, w lasach spotkałem brazylianina, który gładko mówił po rusku. Prawie zaś wszyscy rozumieją trochę po polsku tak, że trzeba być bardzo oględnym w rozmowie między sobą i w ich obecności. Razu pewnego rozmawiałem przy kościele z kolonistami i także przypadkowo się zapytałem o pewną murzynkę, która stała wśród nich — a ona na to: „proszę księdza, ja dobrze rozumiem po polsku“. Odtąd byłem już oględniejszym.

Tak więc z dnia na dzień czekaliśmy na statek. Z nudów, a jeszcze więcej, by uniknąć nieznośnych a uprzykrzonych wizyt, sporządziłem sobie wędkę i wybrałem się na połów. Rzeka Iguassu płynie tuż obok — ale nie bardzo rybna. Rzeka Tibagy (cz. Tibazi) jest bardzo bogatą w ryby, w Iguassu w górnym biegu, jest wprawdzie wielka rozmaitość ryb ale mniejsze tylko, bo od średniego biegu są wielkie wo-

dospady. Połów był dość szczęśliwy, co chwila wyciągnąłem inną rybę i tak chwyciłem piękną żółtą rybę zwaną saicanga, to znowu z wąsami, zwaną bagri, podobną do naszego kiełbika, to połyskującą lambari, to centkowaną, zwaną pintado, t. j. malowana ryba. Nasz okoń nazywa się juana (cz. żuana), ryba pokryta skorupkowymi pancerzami jak jesiotr, nazywa się ascudo guasca, to ryba podłużna a bocudo inna ryba ma dużą płaską głowę. To najwięcej znane gatunki — jest więc wielka rozmaitość, a nadto ryby tutejsze są naprawdę bardzo smaczne, najbardziej poszukiwaną rybą jest pintado.

Wreszcie nadjechał statek. Przy ostatnim obiedzie pożegnał nas gospodarz pięknie ułożoną mową. „Jedźcie dalej — mówił do nas — jeżeli jest ktoś nad nami, niech on was szczęśliwie prowadzi, niech wam te trudy wynagrodzi“. Dotychczas uważałem go tylko za masona, a w końcu przekonałem się, że to już i ateusz. Takimi są wszyscy Brazylianie, zaprzeczają Bóstwa Chrystusowi i bluźnią Najśw. Maryi Pannie. Niejednokrotnie jeszcze potrącę o ten przedmiot.

Nazajutrz wczesnym rankiem wsiedliśmy na statek. Tymczasem jechaliśmy na statku „Kurytyba“. Należy on do rodziny Hauerów, mieszkających w Kurytybie. Przed 30 laty przybyło dotąd coś trzech braci Hauerów, prostych robotników z Górnego Śląska i wkrótce dorobili się ładnego majątku. Obecnie są to najbogatsi kupcy, pobudowali wspaniałe domy, a handel Parany w ich ręku spoczywa.

Sao Matheus to druga stacya misyjna. Wodą po tejsamej rzece Iguassu jechaliśmy 7 godzin. Krótko popołudniu przybiliśmy do portu. Już czekał na nas X. Władysław Smołucha z dyecezyi tarnowskiej.

Sao Matheus to bardzo ładne miasteczko w piękniejszem jeszcze położeniu. Malowniczo się rozłożyło nad lewym brzegiem Iguassu, ma ładne domki, wygląd pogodny i wesoły. Dwa tu kościoły polskie — jeden stary, maleńki, w którym się odprawia nabożeństwo, drugi bardzo wielki, cały z drzewa imbujowego i cedrowego, z wysoką wieżą artystycznej roboty. Już i dzwony założone, ale wewnątrz kościół jeszcze nie wy-

kończony, bo wielki brak pieniędzy; Polaków nie zbyt wielu, a ofiar brazylijskich nie przyjmują, bo chcą mieć swój osobny kościół. Brazylianie złożą kilka milreisów, a roszczą sobie równe prawa do kościoła, nie pozwalają wypędzać psów — a w polskim kościele są Polacy panami i bez wszystkiego wypraszają tych, którzy się zachowują nieodpowiednio w domu Bożym, a psa już nigdy nie ścierpią.

Przyjechaliśmy w sobotę, nazajutrz w niedzielę 14 lutego miała się rozpocząć misya na sumie. Było zatem czasu dość, by się rozglądnąć po Sao Matheuszu i zasiągnąć potrzebnych wiadomości co do jakości i ilości kolonistów.

Rodzin polskich jest około 200; w mieście jest 14 familii, częścią mają sklepy, częścią są rzemieślnikami, jak szewcami, stolarzami, garbarzami i t. d. Kolonii jest 4, a mianowicie: Cachoeira (cz. Kaszoeira), Iguassu, Taquara i Canoas.

Mieszkańcy nie najlepszą mają sławę w okolicy, jedni są niepoprawnymi pijakami, w mieście kilku poprzestaje na cywilnym tylko ślubie, zdarzyło się też kilka zabójstw i morderstw.

Na misyę atoli tłumnie się zgromadzili i przekonałem się, że nie są tak złymi, jak mi ich przedtem przedstawiono. Była to pięćdziesiątnica. Ewangelia o niewidomym żebraku z Jericho, który wołał na przechodzącego Zbawiciela: Jezusie, Synu Dawidów, zmiłuj się nademną, przemówiła im do serca. Płakali wszyscy, rozpłakał się i ksiądz — był to dobry wstęp do misyi.

Brazylianów jest bardzo wielu w mieście, do kościoła jednak przyszły tylko dwie kobiety na sumę. Popołudniu czekali księża brazylijscy na nich, ale Brazylianie kazali im powiedzieć, że nadarmo czekają, bo teraz karnawałem zajęci a nie misyą. Czekali jeszcze trzy dni, ja w pracy od rana do późnej nocy, do nich nikt nie przyszedł — więc też odjechali do zupełnie brazylijskiej parafii, a ja sam pozostałem. Okazało się niepraktycznem i niemożliwem połączyć dwie misye, bo i na to zgodzić się nie mogłem, by Polaków

napędzać do łączenia się i do tłómaczenia im, że już nie są Polakami ale Brazylianami.

Już popołudniu w niedzielę rozpocząłem nauki misyjne, a po nieszporach pojechałem do p. Onufrego Flizikowskiego na fazendę. Niemasz Polaka w Brazylii, któryby posiadał tyle ziemi, co p. Flizikowski. Czytałem o nim już w Krakowie, to i zapoznać się z nim pragnąłem. Mieszka 3 km. za miastem. Tuż za miasteczkiem rozpoczyna się posiadłość jego i dokąd oko sięga, tam ziemia jego. Rozległe pastwiska, na których się pasą całe stada bydła rogatego i mułów, grube lasy, a zwłaszcza niesłychana obfitość przepięknej herwy, to bogactwo w Paranie. Nikt w całej Paranie nie wyrabia tak doskonałej herwy maté, co p. Flizikowski; rozchodzi się ona daleko i szeroko, jako w handlu najwięcej poszukiwana.

Mieszka osobno, wokoło niema żadnego mieszkańca; dom obszerny i wygodny, ogród starannie uprawiany, rosną w nim jabłonie, owocem obsypane — sprawiło mi to nieopisaną radość. Przed domem z frontu cały las herwa maté, dalej piec do palenia herbaty i inne zabudowania.

P. Flizikowski wsparł już niejednego biedaka i niejednemu z Polaków podał rękę — obecnie bardzo podupadł na majątku z powodu kłopotów i kilku katastrof w rodzinie. Pierwszy wielki cios zadała mu rewolucya w Paranie w r. 1893. Żołnierze rozbili mu ogromny sklep w Sao Matheuszu, częścią złupili, a resztę zniszczyli. Samego pochwycili wraz z X. Smołuchą i do Kurytyby odstawili. Odprowadziło ich 60 żołnierzy, na obydwóch zapadł wyrok śmierci. Szczęśliwemu tylko zbiegowi okoliczności i wpływowi kilku Brazylianów zawdzięczają swe ocalenie.

Sao Matheusz ucierpiał wogóle bardzo podczas rewolucyi. Już za czasów cesarstwa powstały w Brazylii dwa stronnictwa: s t r o n n i c t w o l i b e r a l n e, dążące do tego, by cudzoziemcom udzielić równych praw i do tychsamych przypuścić ich przywilejów; s t r o n n i c t w o z a ś k o n s e r w a t y w n e pilnie strzegło swoich prerogatyw i niechętnem okiem spoglądało na cudzoziemców. Stronnictwa te nie upadły

z cesarstwem, przybrały tylko inny charakter i tak, konserwatywne było za przywróceniem cesarstwa, podczas gdy liberalne było za republiką. Przyszło wreszcie do zaciętej walki, rewolucya wybuchła w całej Paranie. Na koloniach chwytali Polaków i do wojska brali każdego, kto dość rychło uciec nie potrafił. W Sao Matheusz, Antoni Bodziak, tensam, z którym się zapoznał O. Grzegdala w Buenos-Aires, ogłosił się pułkownikiem, zebrał cały pułk zbałamuconych Polaków do wojny ze stronnictwem liberalnem. Krew lała się obficie, do najważniejszej potyczki przyszło pod Tijucas (cz. Tiżukas), stronnictwo konserwatywne uległo. Najuczciwszych obywateli pokonanego stronnictwa skazano na śmierć — między innymi schwytano i barona Asul z Kurytyby i rozstrzelano z rozkazu obecnego prezydenta Dr. Wincentego Machado (cz. Masiadu). Rozgoryczenie trwa do dzisiejszego dnia, wdowa po okrutnie straconym baronie, zdaje się wszystkim przypominać straszny mord, dokonany na najniewinniejszym z wszystkich.

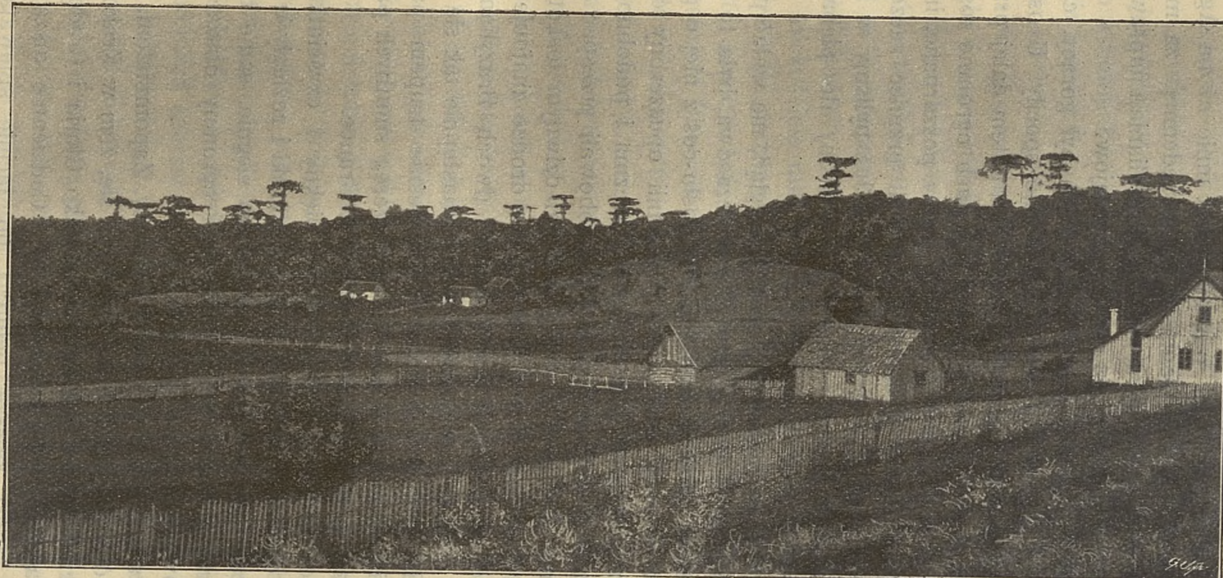
Polacy dali się w Sao Matheus łatwo wciągnąć do walki, srogo też za to odpokutowali. Zrabowano sklepy polskie, pastwiono się na kobietach i dzieciach, wielu uwięziono; X. Smołuchę na śmierć skazano, a siedmiu Polaków ukarano śmiercią doraźną i okropną. Przywiązano ich do drzewa, poobcinano ręce, wyrywano serce i wnętrzności, a w końcu potopiono w rzece Iguassu. Okropnie słuchać o tych tragicznych wypadkach, okropniej jeszcze, gdy mi jakaś dziewczyna powiedziała: biednam sierota, ojca i brata mi zabili i utopili. Taki to był los biednych Polaków w Sao Matheus, za to było mi tem przyjemniej pracować wśród nich. Spowiadaliśmy z X. Smołuchą cały dzień, on odprawiał nabożeństwa, ja zaś głosiłem nauki misyjne. W piątek przystąpiło 650 do wspólnej komunii św. W sobotę odprawiłem nabożeństwo żałobne za zmarłych, udzieliłem błogosławieństwa dziatkom i jeszcze niedobitków spowiadałem. Łaska Boża tknęła i takich, którzy się już wyrzekli Boga i kościoła, po-

wrócili skruszeni, owieczki zbłąkane przyprowadził napowrót dobry Pasterz do owczarni swojej.

Nazajutrz po sumie w niedzielę, postawiłem 9 m. wysoki krzyż imbujowy. Z wszystkich stron gromadzili się koloniści, przyszli i Brazylianie przypatrzeć się polskiemu misyonarzowi i uroczystej ceremonii. Na zakończenie przemówił X. Smołucha, zachęcając parafian do wytrwania w postanowieniach, powziętych na misyi.

Misya odprawiła się spokojnie, Bóg błogosławił pracy, poruszył serca kolonistów a to nie pozostanie i na przyszłość bez owoców. Żal mi było opuszczać Sao Matheus i poczciwego X. Smołuchę, było mi u niego jak w domu. Opowiadaliśmy sobie długo w każdy wieczór o ziemi naszej. Biedny radby jeszcze wrócił do Polski, ale już go siły opuszczają, a niedawno poddać się musiał operacyi. „Jeżeli nie wrócę — mówił mi — leżeć jednak będę na ziemi polskiej“. Wziął bowiem z sobą garnuszek ziemi z ogrodu, który uprawiał, a ziemię tę włożą mu kiedyś do grobu. Rozrzewniła mnie tak wielka miłość ojczyzny! Jest w nas to, czego inni nie mają — nikt nam nie dorówna w patryotyźmie, a miłości i przywiązania ku ojczyźnie nikt z serca nie wyrwie. Tu w Paranie spotykałem tylu Francuzów, Włochów, a szczególniej Niemców, wszyscy bardzo prędko się wynaradawiają, wstydzą się używać języka ojczystego i obrażają się, gdy im się mówi, że są Niemcami. „Bynajmniej — odpowiadają — jestem Brazylianinem, nic wspólnego nie mam z Niemcami i t. d.“ Polacy inaczej — prędko się nauczą po brazylijsku, wymawiają jak rodowici Brazylianie — dziwią się temu wszyscy, ale nie mniej dziwią się i temu, że się nie chcą uważać za Brazylianów. Niemcy wchodzą w związki małżeńskie z Brazyliankami, u Polaków to wyjątek, przestał już właściwie Polakiem być ten, który się zbyt z Brazylianami poufali.

Trochę wstydzić się zaczęli Brazylianie, że swoich księży nie przyjęli, podczas gdy Polacy tak bardzo swojego kapłana uszanować umieli. Zmiarkowali to Polacy i jeszcze lepszą postanowili im dać naukę. Całe towarzystwo im. Puławskiego



BRAZYLIA — PARANA.
Widok na mieszkania polskich kolonistów, w dali las należący do funduszu kościelnego w Thomaz-Coelho; podług fotografii.

na koniach ze sztandarami odprowadziło mnie aż na Agua Branca. Cały szereg na koniu jechał przedemną, za mną około 20 jeźdźców. Dziwowali się temu Brazylianie i naprawdę wstydzić się zaczęli grubych swoich obyczajów.

Jechaliśmy tak dwie i pół mili. Dzień był gorący, całe tumany kurzu się unosiły, konie się mocno spociły. U ostatniego z kolonistów wytchnęliśmy trochę, a potem dalej przez las na Agua Branca. Po obydwóch stronach ogromne sosny do 50 m. wysokie — niektóre od piorunów poszarpane, inne od ognia pousychały. Tymczasem w dali grzmieć zaczęło, spięliśmy konie, by ujść przed deszczem. Już byliśmy w kolonii, gdy zaczęło padać i ledwo dojechaliśmy do plebanii, gdy spadł deszcz ulewny.

Agua Branca ma bardzo smutny wygląd, nie widać prawie nic wokoło. Plebania jest tylko tymczasowa, była to dawniej karczma. Właściciela Lücka wyniosło coś z niej o północy z łóżkiem na ulicę. Obok plebanii opuszczony dom w ruinie już prawie, była to także karczma i podobno do dzisiejszego dnia tam straszy. Ludzie próbowali przespać noc w tym domu, ale nie dało się, przerażeni dziwnym łoskotem, oknem wyskakiwali. Przed plebanią na drodze znajduje się czarny mały krzyż na pamiątkę śmierci dwóch Brazylianów. Krótko po Nowym roku pokłócili się, a następnie tak się nożami pokaleczyli, że obydwaj równocześnie trupem padli. Za plebanią cmentarz — na nim cały szereg smutnych palm, co do reszty ponury daje wygląd Agua Brance.

Za to kościół pogodny, jasny, piękny i czyściutki na wzgórzu; dominuje na całą okolicę. Szeroki i rozległy widok wokoło, całe morze drzew, dokąd oko sięgnie, same tylko bory. Po raz pierwszy zobaczyłem taki ogromny obszar samych lasów.

Praca szła gładko, bo lud wyrobiony. Zapomniałem, żem wśród lasów brazylijskich, ale zdało mi się, żem w Krakowie. Cały kościół śpiewa po łacinie nietylko Gloria i Credo ale Introit, Sanctus, Offertorium i t. d. Codziennie msza św. śpiewana, ludzi zawsze pełno i po łacinie śpiewają. —

Niema prawie pijaków — ale jest za to codzienna Komunia św. — w niedzielę i święto nikt nie zostaje w domu — najmniejsze dziecko — wszystko do kościoła spieszy. Rady sobie tylko z chłopakami dać nie można; rzadko który do śpiewu się da namówić, na nieszpory nie zaczekają, uciekają z kazania, bo im się długiem widzi; do muzyki, choć najsurowiej zakazana, pierwsi, a skoro tylko harmonika zagra, to i dziewczęta w domu nie wysiedzą, a ksiądz się potem za to gniewa. Misya ludziom nie ciekawa, bo X. Wróbel rokrocznie urządza trzydniowe rekolekcye, dla każdego stanu osobno, ale i tu z chłopakami kłopot, bo w tym czasie właśnie za robotą chodzą.

W kościele nikt nie przemówi, porządek wzorowy, X. Wróbel całe godziny codziennie przeklęczy przed ołtarzem. Resztę czasu poświęca szkole, sam uczy i wciąż w książkach zagrzebany. Obecnie układa kalendarz, i mapę Palestyny, na podstawie objawień świątobl. Katarzyny Emmerich. Doszedł do przekonania, że się Pan Jezus 25 listopada urodził. Ma zamiar drukować to wszystko u Herdera w Fryburgu. Umysł to wyjątkowo jasny i bystry, obok tego cechuje go dziecięca prostota i ujmująca uprzejmość. Głodem się morzy, nie jada mięsa, trzy razy w tydzień suszy o chlebie i wodzie. To też taki, że się żal robi biednego księdza.

Całymi wieczorami wykładał mi astronomię, zdawało mi się, że słucham wykładów astronomii na uniwersytecie — sam zrobił sobie globus niebieski i inne praktyczne przyrządy do oznaczenia położenia gwiazd.

Znany na całą okolicę pod imieniem O. Jakóba. Z daleka ściągają się do niego, jak do świątobl. X. Vianney, do spowiedzi św. — jedni budują się pobożnem życiem jego, inni odnoszą zgorszenie — nazywają to przesadą, niezrozumiałą pobożnością i t. p. O. Jakób na nic się nie ogląda, tylko swoje dalej robi.

Zato nieznośną plagą ludu jest wiara w różne zabobony i czary. Parana stanowi jakiś dziwnie podatny grunt dla tych rzeczy. Na każdej kolonii pełno czarownic, które krowom

mleko odbierają, choroby zadawają, kury się nosić przestają itd. Pięć czy sześć głośnych i znanych czarownic jest w Agua Branca. Jedna z biedą uszła śmierci, kogokolwiek się dotknęła, zachorował — przeniosła się znienawidzona na inną kolonię. Inna palcem się dotknęła policzka mężczyzny, odrazu włosy z brody wypadły, i miejsce to pozostało bez zarostu — uciekają przed nią, bo to pewna czarownica. O innej słyszałem, że dała sąsiadce kawał kiełbasy, a ta odrazu wpadła w szał — i tej lękają się powszechnie.

Na domiar wszystkiego, przybył na misyę z sąsiedniej kolonii jakiś rusin, Onufry Danieliszyn. Pochodzi z Turże z pow. Brody, ma mniejwięcej lat 53. Opowiada, że od trzech miesięcy ma dwóch duchów przy sobie, którzy nieustannie mówią mu do ucha — jeden głośno, drugi cicho. Mówiący głośno, nazywa się Gomi, drugi Mikita. Człowiek ten uderza odrazu, jakiś wystraszony i wciąż wsłuchany w głosy owych duchów.

Tego samego dnia opowiadał mi kolonista, nazwiskiem Paweł Jóźniak, rodem z wsi Białowicze pod Pułtuskiem, ciekawą historyę z życia z r. 1895. Kilka duchów wyprowadziło go wieczorem nad rzekę Agua Branca i tam całą noc go zatrzymali. Człowiek to zresztą bardzo trzeźwy i zasługujący na wiarę.

Nie dość na tem. Gdy wieczorem przy kościele brewiarz odmawiałem, staje nagle przedemną stara kobieta o dziwnym wyrazie twarzy i skarży się, że już od lat 20 ma dwóch szatanów w sobie, jednego pod sercem a drugiego w głowie, który jej chce kości połamać. Kobieta ta nazywa się Jabłońska, rozróżnia 9 rodzajów czarownic. Każdą poznaje odrazu, ale wydać żadnej nie może, bo kobieta, która ją zaczarowała i owych dwóch szatanów w niej uwięziła, kazała tym duchom milczeć.

Oto mały rys i obraz wiary w gusła i czary. Odczynianie bardzo powszechne — jedni czarują, drudzy odczyniają, tak koloniści jak i Brazylianie. Ból głowy, zębów i t. d., wszystko się da odczynić.

Wiara w lobizony powszechna. Lobizon to człowiek, który na nowiu zamienia się w psa. Wielu widziało niejednokrotnie lobizona; lobizon to podobno syn ojca i córki. Bajtata również powszechnie znana. Jestto stara brazylianka, obszarpana, która się we dnie włóczy a na noc zamienia się w słup ognisty, z ust, nozdrzy, uszu bucha ogień. Gdy lasem idzie, zdaje się, że las się pali — choć ogień ten niezapalny. Opowiadają, że na naszej kolonii przyszła taka brazylianka wieczorem do domu jakiegoś kolonisty, nagle ogień jej trysnął z ust, zamieniła się w słup ognisty i przez okno zamknięte wyleciała.

Misya skończyła się tu 29. lutego postawieniem krzyża misyjnego. Koloniści postanowili odprowadzić mnie taksamo, jak koloniści z Sao Mateusza. Najwyraźniej prosiłem, by mnie puścili samego, że podobnych rzeczy nie lubię i byłem przekonany, że mnie posłuchają. Tymczasem gdy nazajutrz z kościoła wróciłem, już przy plebanii czekał cały zastęp kolonistów na koniach, by mnie odprowadzić na Sao Mateus. Nie pomogły żadne perswazye. Wózek, na którym jechałem, ciągnęła czwórka, znowu przedemną i za mną jechali na koniach. Kurz jeszcze większy niż ostatnim razem — cały skurzony zawitałem znowu w progi X. Smołuchy, by czekać na statek do dalszej drogi.

Już i mały spoczynek był potrzebny po kilku dniach ciężkiej i mozolnej pracy. Niezwykle gorące dnie nastały. Cały styczeń, gdy najgoręcej być powinno, było chłodno, dopiero przy końcu lutego i w marcu przy stałej pogodzie, rozpoczęło się gorące lato brazylijskie — upał nie do zniesienia. Gdy się z gołą głową stoi, zdaje się, że słońce mózg wypali, pracować zaś w takie dnie, to trud wielki.

Doświadczyłem jeszcze innej nieprzyjemności i plagi, która mi się dała porządnie w znaki. Wiele już słyszałem w Europie o pchłach brazylijskich, które się w stopy wgryzają. W Thomaz-Coelho jakoby ich nie było — ale niejednokrotnie spotkać się z niemi miałem. Jestto tak zwana Sarcopsylla penetrans, Brazylianie nazywają ją bichou (cz. bisiu) de pé.

Nie spostrzegłem się zrazu, że mi się pchła już w stopę wgryzła. Doznaje się tylko swądu — pchła składa jajka, a ciało się na dobre psuje. Nie mogąc już wytrzymać nieprzyjemnego uczucia, zbadałem przyczynę i odkryłem cały czarny kawał ciała pod palcami. Nie ma innej rady, tylko pchłę wydostać, a przy tem rani się nogę, rana się jątrzy i powstają bolesne wrzody. Większy kłopot, gdy pchła wejdzie pod paznokieć, trudniej ją wydostać, boleści większe, a często paznokieć odpada. Od tego czasu ucierpiałem bardzo wiele od niej, powchodziły mi do każdego prawie palca, zwłaszcza na kolonii Rio Claro, gdzie ich najwięcej.

Pchła sama jest bardzo mała — jedna jest czarna mniej zjadliwa, druga ruda, po której rana się zagoić niechce.

Cierpi od niej również bardzo bydło, psy, koty i t. d. Często spotyka się krowę, całą wrzodami okrytą i zranioną.

Inny gatunek podobnego robaka, to tak zwany bicho de perna — coś w rodzaju wągra. Wgryza się również w ciało i sprawia dojmujące boleści, trzeci wreszcie gatunek, to robak podłużny z włosami na jednem końcu. X. Bayer długo myślał, że zrobił mu się wrzód na ramieniu, a tymczasem robak ten wzrastał i osiągnął wielkość pół palca.

Na misyi w Agua Branca doświadczyłem jeszcze i tego, co przechodzi każdy Europejczyk prędzej czy później w Brazylii. Krew europejska zamienia się w brazylijską i wtenczas powstają duże wrzody na ciele, a szczególniej na nogach, jeden obok drugiego. Boli to, bo rana się jątrzy, a goić się niechce.

Cały czas leczyłem zranione nogi, bo droga była jeszcze daleka, a praca ciężka. Miałem jechać nasamprzód na dużą kolonią Rio Claro, a stamtąd około 120 km. konno na Jangadę — ostatnią osadę polską w tej stronie.

Już jutro jedziemy z X. Chylaszkiem na misye do Luceny, to z powrotem dopiero opiszę Czcig. X. Wizytatorowi resztę dalekiej wycieczki przez bory, aż na Jangadę.

X. Dylla
n. k. z. m.

Macedonia.

List X. Cazot'a, superyora seminaryum dla kleryków Bułgarów w Zeitenliku, do X. Angeli w Paryżu.

Zeitenlik, d. 8 grudnia 1903 r.

Przedstawię krótko Czcigodnemu księdzu obraz naszej działalności w Macedonii, a mianowicie w wilajecie salonickim. Osiedliliśmy się tu już w kilku miejscach. I tak: w Zeitenliku, na północ od stołecznego miasta Saloniki, mamy seminaryum, gdzie wychowujemy młodych Bułgarów, starając się o to, by z nich zrobić gorliwych apostołów własnej ojczyzny. Praca ta idzie powoli, lecz śmiało powiedzieć mogę, że idzie naprzód. Mamy obecnie w seminaryum wielkiem ośmiu kleryków, a liczba ta wkrótce porządnie się podniesie, bo uzupełnią ją studenci z małego seminaryum, liczącego obecnie czterdziestu uczniów; nie wszyscy z nich okazują ochotę poświęcenia się stanowi kapłańskiemu, tak że już ośmiu zaczęło się uczyć rozmaitych pożytecznych rzemiosł. Całą tą uczącą się młodzież utrzymuje nasza misya zupełnie darmo, nie żałując kosztów ni zachodów, boć ta młodzież to cała nasza nadzieja; ta młodzież ma przyszłość naszej misyi w swych rękach. Odrodzenia Bułgaryi schyzmatyckiej spodziewamy się tylko po tych naszych wychowankach, bo przecież jasnem jest, że takich wygórowanych nadziei pokładać nie możemy w nowo nawróconych schyzmatyckich duchownych, t. j. popach. Wiemy, że mile przyjmą naszą miłość, że nie cofną ręki przed naszemi dobrodziejstwami; spodziewamy się wreszcie, że nauczyliśmy ich porządnie odprawiać „służbę bożą“ (mszę św.), że nie odmówią nam, gdy

ich poprosimy na rekolekcye, podczas których bezpłatnie ich utrzymywać będziemy, dawszy im przedtem dostateczną ilość pieniędzy na podróż — tu urywa się nitka wyciągniętych aż nadto naszych nadziei! — Dobrych księży, prawdziwych kapłanów, z nich zrobić nie potrafimy. Zebraliśmy ich tego roku dwa razy w seminaryum naszem na rekolekcye. Ma się rozumieć, że przyjechali — odprawili je i pojechali. Daleko więcej ucieszył nas zjazd naszych młodych księży Bułgarów, naszych wychowańców. Odprawili tu rekolekcye, nabrali sił, i rozjechali się na swoje posterunki. — Czcigodny ksiądz zdziwi się, wiedząc dobrze o naszych finansach, jakim sposobem na tyle wydatków wystarczyć możemy. A one rzeczywiście na to wystarczają; na więcej jeszcze. I tak na Wielkanoc otworzyłem nowy dom w Jenidże-Vardau (Janica), jest to miasteczko na północ od Saloniki, odległe od niej blisko 50 kilometrów. Najęliśmy tu domek za 150 franków rocznego czynszu, a nasz kochany X. Belierès osiadł w nim razem z młodym księdzem Bułgarem, wychowańcem naszego seminaryum. Zajęcie tej pozycyi, zaczyna zmieniać powoli dotychczasowy wygląd Janicy. Szkoła tutejsza, oddawna już tradycyjnie spoglądająca na 20 do 30 tylko uczniów, cieszy się dziś pokaźną liczbą. Pełna setka małych Bułgarów napełnia jej mury. Są to po większej części dzieci rodzin schyzmatyckich, które z zaufaniem powierzają nam swe maleństwa. A nadto za zezwoleniem tureckiego rządu zajęliśmy się biednymi więźniami bułgarskimi, w Janicy przebywającymi. Podobną opiekę roztoczyliśmy i nad więźniami w Salonice.

Rok temu jak nam Turcy zamknęli szkołę w Gjewgjelija, założoną w połowie września 1901 roku. Po długich z naszej strony staraniach, pozwolono nam wreszcie na otworzenie jej na nowo. Nastąpiło to w czasie świąt wielkanocnych. Na początek nie spodziewaliśmy się wielu uczniów. I tak rzeczywiście było. We wrześniu dopiero zaroiło się w szkole. Obecnie mamy tu sześćdziesięciu chłopców, a w szkole dla dziewcząt taką samą liczbę panienek, kształcących się pod kierownictwem Sióstr od Najśw. Sakramentu

(Eucharystki), których dom macierzysty znajduje się nieopodal od Gjewgjelija. X. Allvatti, zamieszkały tu, zajęty przez cały tydzień w szkole, a korzystający tylko w sobotę i niedzielę z kilku chwil wolnych, zwiedza okoliczne osady i po drodze katechizuje, spowiada i głosi kazania gdzie się tylko uda.

Podobnie czynnym musi być i X. Michel, przebywający w Kukusz (Klkić). Jest tu nasza stacya już od trzech lat. Opodal mają dom Siostry Miłosierdzia, które osiedliły się tu o kilka lat wcześniej, bo już w r. 1885. Kukusz jest nadto rezydencyą X. biskupa Scianowa. Otóż w okolicach Kukusza sieć apostolska zagarnęła naraz aż 14 wiosek. Mieszkańców skłoniły do zmiany religii ciągłe w tych stronach zaburzenia polityczne. Poznałem ich dość dobrze i wiem, że pracy około nich jest dużo, w czem dzięki Bogu nikt nam nie będzie przeszkadzał. Mając wolne ręce na tem terytoryum, zabraliśmy się do pracy ochoczo. X. Milet oddany zapamiętale przez cały tydzień szkole w Kukusz, gdzie uczęszcza 180 chłopców, opuszcza ją w niedzielę i zwiedza nowo zdobyte osady wraz z dwoma towarzyszami, których mu zawsze do pomocy posyłamy.

Zajmujemy się również gorliwie niedawno nawróconymi duchownymi, którzy wraz z ludem opuścili schyzmę. Urządzono dla nich we wrześniu rekolekcye w Kukusz. Dawał je X. Allvetti z Gjewgjelije.

Te trzy nowe placówki w Kukusz, Gjewgjelije i Janicy czujnie strzegąc okolicznych wiosek, wywierają na ich mieszkańców wpływ coraz szerszy i coraz zbawienniejszy. Tutaj też nasi młodzi księża Bułgarzy wdrażają się w trudne prace swego powołania, pracując nad rodakami w jednym szeregu z naszymi księżmi.

To wystarczy Czcigodnemu księdzu do wyrobienia sobie w przybliżeniu całokształtu naszych prac.

Nasze modlitwy bezustanku płyną do Boga i z pewnością wyjednają u Niego stokrotną nagrodę dla szlachetnych dobroczyńców. W każdy pierwszy piątek miesiąca odprawiamy Mszę św. na cześć Serca Pana Jezusa i ofiarujemy Komunię

św. za nich. Lecz to nie wyrówna nigdy wdzięczności jaką czujemy, a te dobre uczynki jakie za ich pomocą wykonujemy, czekają jeszcze w niebie, by ich tam Bogu polecić.

Dzięki otrzymanym zasiłkom odnowiliśmy w Janicy walącą się szkołę. Nadto dokończyliśmy budowy pałacu dla X. biskupa Scianova w Salonice, którego budowa ciągnęła się już od roku 1892, a w Gjewgjeliji otoczyliśmy cmentarz murem, zabezpieczając od niepokojów miejsce spoczynku naszym owieczkom.

Prawda, że lepiej nie mogliśmy użyć tych zasiłków?

X. Cazot.

Syrya. — Jerozolima.

Położenie kamienia węgielnego pod kaplicę szpitala św. Wincentego à Paulo, według listu Siostry Sion do Misyj katolickich w Lyonie.

Ciężka choroba, która mnie trapi, nie dozwala mi pióra utrzymać w ręce, lecz serce me, które tyle dobrodziejstw doświadczyło od czytelników Misyi katolickich, czuje obowiązek wyrażenia szczerej wdzięczności tym, z którymi już nie ma nadziei zobaczenia się w Lyonie. W obu razach, czy spodoba się Bogu przedłużyć me dni, czy powołać mnie do siebie, polecam drogie mi dzieło, za które chętnie z życia czynię ofiarę wam, czcigodni dobrodzieje. W cieniu krzyża rozpoczęłyśmy nasze dzieło 3 maja 1886 r., krzyż nas wspomagał w jego prowadzeniu, a błogosławieństwo jego użyźniło prace tak, że żniwo obfity przyniosło plon.

Moje milczenie mogło wam dać do myślenia, że zapomniałam o sprawozdaniu z naszych dzieł, lecz dla mnie prawdziwą jest rozkoszą poświęcić kilka chwil, by sławić miłość, rozniecać ją w sercach pobożnych czytelników i mieć przytem sposobność do zapewnienia o naszej wdzięczności. Codziennymi wypadkami, na których tak często spoczywa widoczne piętno

Boże, dzielić się z wami, byłoby za często; wszystko to zresztą zapisane w niebieskich rocznikach, które pobierają wybrani i z których szlachetny owoc odniosą swej głębokiej wiary dobroczyńcy małych niemowląt świętego naszego miasta.

Sposobność przypomnienia się wam daje mi okoliczność położenia kamienia węgielnego pod naszą kaplicę.

Już od dwóch lat błagałam o pomoc do podjęcia się tej budowy, mając tę głęboką wiarę, że już czas uskutecznić me pragnienie, które mnie nagliło do poświęcenia Zbawicielowi jak najgodniejszego mieszkania, gdym już tak długo strzegła jego zbolałe członki, wyobrażone w tych, którzy zapełniają szpital, a których możnaby przyrównać do żywej mozaiki, łączącej w sobie wszelkie cierpienia, żywy obraz świętego człowieczeństwa Zbawiciela przedstawiające.

Ta pociecha spotkała mnie w święto śś. Aniołów Stróżów 2 października, gdy o zmroku wieczornym przyniesiono krzyż w procesyi i zatknięto na miejscu, gdzie wznieść się miała świątynia.

Nazajutrz ceremonie były wiele uroczystsze. Dom nasz święcił uroczystość; serca wszystkich przepełniała radość, tylko moja choroba rzucała cień smutku na te prawdziwie wzruszające chwile. Udział mój ograniczał się na przypatrywaniu się z krzesła, na którem wyniesiono mnie przed okno, gdyż nogi od 3 miesięcy, rażone paraliżem, odmawiały posłuszeństwa. Prócz p. Boppe, konsula francuskiego, nie przybył żaden dygnitarz. Rozpoczęto wspaniałą procesyę, w której wziął udział cały nasz dom i wielu obcych, następnie duchowieństwo zakonne i świeckie z kanonikiem Legrand na czele; na samym końcu niesiono krzyż, przy którym postępowała asysta z celebransem. Wkrótce okazał się kamień węgielny otoczony kwiatami, lecz dla mnie nie był to zwyczajny kamień węgielny, wyobrażał mi ołtarz, na którym bezkrwawa ofiara nieustannie miała się odprawiać i przedstawiałam sobie tę chwilę, kiedy pierwsza Msza św. miała nas pobudzić do wynurzania modłów uwielbienia.

Nie mogąc sama być na procesyi, cieszyłam się ze zna-

cznego grona, które w niej brało udział. Nasamprzód widziałam młodych naszych wychowanków w różowych ubraniach i o rozpromienionych twarzyczkach; a minione chwile, w których mogłam im me starania poświęcać, odżyły we wspomnieniu. Skoro zaś malcy spostrzegli swą „mamę Sion“, bezustannie machając rączkami, posyłali jej swe ukłony. Następnie wychowanków innych zakładów, uczciwych naszych staruszków i staruszki przybranych w świąteczne szaty, Siostry zaś poprzedzały kler. Z wszystkimi łączyłam się w modłach, by wyprosić opiekę nieba dla świętego miejsca, na którem stanąć miała świątynia Bogu. Skoro poświęcono kamień węgielny, położono go na miejscu przeznaczonem, po umieszczeniu dokumentu piśmiennego, na którym wypisano, że kaplica poświęcona jest Maryi od cudownego Medalika, i umieszczono datę rozpoczęcia budowy oraz nazwiska fundatorów, zamurowano go zewsząd, by zachować ten klejnot całej budowy. Po poświęceniu miejsca i ukończeniu ceremonii, wyraził wdzięczność celebrans przedstawicielowi Francyi, następnie wśród śpiewu *Magnificat* podążyła procesya do kościoła, gdzie błogosławieństwo Najśw. Sakramentem ukoronowało uroczysty ten dzień.

Oto sprawozdanie z położenia kamienia węgielnego. My prosimy dla naszych dobroczyńców o takie kamienie pod inne budowy w tej błogiej nadziei, że je im wyprosimy. Zbudować mieszkanie Jezusowi w mieście jego ulubionem, czyż nie jest to przygotować sobie wspaniałe mieszkanie w innej Jerozolimie, która dobroczyńców i doświadczających dobrodziejstw ma złączyć u siebie dla śpiewania Bogu, który jest miłością, nieustannych hymnów.

Persya.

List X. Decro do X. Villette generalnego prokuratora w Paryżu.

Ounniak, d. 15 listopada 1903 r.

Zaczynam się zwolna przyzwyczajać do mej nowej ojczyzny i przyswajać sobie jej język. Nie jest to zbyt łatwe

dla młodego misyonarza, który ustawicznie musi się posługiwać aż trzema językami. Kierownictwo szkoły powierzono mi jeszcze na ten rok. XX. Renault i Châtelet pomagają mi, dając lekcye języka francuskiego i matematyki dla kilku dzieci chaldejskich i muzułmańskich, więcej rozwiniętych od swych rówieśników. Ich podróż z Paryża do Persyi była bardzo uciążliwa. Wszystko się składało na to, aby im tę podróż uprzykrzyć — a więc przewodników mieli złych, straszyły ich pogłoski o rozbójnikach, wóz im się zepsuł, koń im padł, a w dodatku zaskoczyła ich straszna burza w nocy, gdy byli w górach. Przy tem wszystkiem głodem musieli przymierać, dopóki nie dostali się do Khosrova w opłakanym stanie. Jednakże starania i wygody, jakiemi ich tu otoczono, prędko zatarły ślady tej uciążliwej podróży.

Co do mnie, to szczerze się ucieszyłem, widząc w Persyi tych misyonarzy z takiem poświęceniem. Obecnie, Bogu dzięki, zdaje się, że ciężkie dni minęły bezpowrotnie, a dla biednej misyi perskiej, tak bardzo doświadczanej od śmierci X. Cluzel, otwierają się weselsze widoki.

Jeśli w innych okolicach Kościół katolicki okazuje się pięknym i górującym nad protestantyzmem i schyzmą, to trzeba wyznać, że tutaj raczej podrzędne zajmuje stanowisko, misya bowiem protestancka już przed nami wzrosła tu mocno i osiedliła się na stałe. Zyskała nawet pewien rozgłos i świeciła blaskiem; dziś, co prawda, obojętność religijna, co trudno zrozumieć, na Wschodzie ogarnia wszystkich jej zwolenników, którzy znowu przywożą z podróży do Ameryki głęboką cześć dla katolicyzmu. Jednakże dzieła protestanckie pomimo to zawsze pomyślnie stoją, a to dzięki ogromnym środkom materyalnym, którymi ministrowie amerykańscy rozporządzają. Ich lekarze, szkoła medycyny i szpital głośne są w całej Persyi. Nasi katolicy a nawet nasi księża zmuszeni są uciekać się tam porówno z innymi,

Mają oni również w Ounniak wielkie kollegium, a niema znaczniejszej wioski na równinie, w której by nie było ich szkoły i nauczycieli. U nas niestety, brak środków pienięż-

nych tamuje naszą działalność i ledwie powoli postępować możemy. Nasza szkoła w Ounniak liczy niespełna 25 uczni, ale moglibyśmy mieć więcej, gdyby nasi ubodzy katolicy nie wysyłali swych dzieci w rzemiosła do Rosyi. O! jakby nam się przydał taki zakład rękodzielniczy. X. Lesné oddawna już o nim myśli; ale trzeba na to pieniędzy, których nie mamy, i tak zamiar ten pozostaje nadal w sferze pomysłów i projektów. — Obecnie mamy spokój w kraju. Zeszłego roku groził nam napad Kurdów. Ze wszech stron spędzano trzody a okoliczni wieśniacy chronili się do miasta z całym dobytkiem. Kurdowie jednak na naszych chrześcijan górali napadli; w szczególności zaś nasi katolicy z Havana dzielnie walczyli, broniąc jużto swych braci nestoryan, jużto własnych trzód i ognisk. Lecz do plemienia Kurdów perskich przyłączyli się Kurdowie tureccy i przemogli chrześcijan, którzy też musieli ustąpić przed przeważającą liczbą nieprzyjaciół. Jednakże dwunastu dzielnych chrześcijan nie zauważyło sygnału odwrotu broniąc rannych, by ich nie zostawić okrucieństwu Kurdów; zostali otoczeni przez nieprzyjaciół w jednej wiosce opuszczonej przez mieszkańców, gdzie polegli walcząc do ostatniego. Kurdowie podłożyli ogień pod wioskę i zamknęli w niej naszych żołnierzy jak zwykłe liszki. Gdy zapanował względny pokój pomiędzy tymi dwoma ludami, zabrano się do uczciwego pogrzebania zmarłych, przysypanych gruzami spalonej wioski. Ja i X. Darbois pojechałem tam, aby wziąć udział w tej ceremonii pogrzebowej i pocieszyć naszych katolików.

Po pięciogodzinnej jeździe konnej, przebytej wśród ustawicznego wspinania się i schodzenia z pagórków przybyliśmy wreszcie do głębokiej kotliny, obszernej, zamkniętej od strony tureckiej przez mur cyklopów utworzony przez góry, których wierzchołki giną wśród grubych pokładów wiecznego śniegu. Jednym rzutem oka można objąć to całe obszerne panorama, z jednej strony wioski chrześcijan chaldejskich a z drugiej wioski Kurdów. Mały strumyczek wije się wężykowato pośród tej równiny, pokrytej bujnymi łanami

zboża. Podnóże i stoki gór dostarczają znakomitej paszy dla niezliczonych stad owiec i bawołów. Niema tutaj ni winnic, ni ogrodów warzywnych, zaledwie parę drzew stoi około wioski. Wioskę tę tworzą dosyć wysokie domy, wystawione gęsto jeden przy drugim z kamienia górskiego, pokryte ziemią. Wszystkie dachy są połączone, tak, że tworzą w ten sposób obszerny plac, służący na miejsce przechadzki, a w razie wojny zastępuje wieżę obronną. Niema tu ulic, jeśli będziemy je tak nazywać, zaledwie kilka ścieżek prowadzących do obór.

Po dachu więc trzeba chodzić, aby się dostać do kościoła, przytem trzeba dobrze uważać, by nie wpaść w jaką dziurę, która wskazuje gdzie jest podwórko i aby nie wstąpić w kwadratowy otwór, którym wychodzi dym z pieca. Jest to rodzaj studni, wykopanej w środku każdego domu i ogrzewanej paliwem sporządzonym z krowieńca i słomy. Mieszaninę tę suszy się na słońcu; przyrządzaniem tego paliwa zajmują się kobiety. W razie niebezpieczeństwa, co się często zdarza, spędza się trzody z gór naokoło mieszkań pod opiekę strzelb. Rozumie się, że te olbrzymie stada pochłaniają wszelką roślinność około wioski; tem się też tłómaczy, że niemożliwą jest uprawa roślin warzywnych ni winnic; lasek zaś stanowiłby bardzo obronną pozycyę dla nieprzyjaciela. Nasi poczciwi górale opuścili zaraz swe zatrudnienia i przybiegli nas powitać, skorośmy się tylko ukazali na szczycie góry. Zaprowadzono nas zaraz do proboszcza. By dać obrazek ceremonialności obchodu, przytaczam kilka szczegółów naszej wizyty:

Wchodzimy do letniego mieszkania, tak zw. bala khanu z nakrytemi głowami, ale boso. Zasiadamy w milczeniu na poduszkach, ułożonych naokoło dywanu; teraz następuje przepisane kiwanie się na oba boki, co ma niby oznaczać pozdrawianie obecnych. Po tej kiwaninie odzywa się dopiero do nas gospodarz: „O nasi Ojcowie, światłości naszych oczu! Przyszliście w pokoju i na nasze oczy!“. Na co my odpowiadamy: „Pokój z tobą! Niech Bóg strzeże twych ócz!“

Gdyśmy następnie wyrazili kondolencyę, dodajemy: „Pokój z waszymi umarłymi“. Na co nam odpowiadają: „Pokój z waszymi umarłymi! Pokój z waszymi bliskimi umarłymi“. My jeszcze dodajemy: „Dzięki Bogu, że wasza głowa się kiwa (co znaczy pocieszcie się!). Niech Bóg da odpoczynek waszym zmarłym. Niech się Bóg opiekuje waszemi dziećmi“.

W końcu przyniesiono cybuch X. Darbois, który trzymając rękę na sercu, wziął i zwracając się do gospodarza, rzekł: „Rozkazuj“. Ten zaś odpowiada: „Ty rozkazuj, do ciebie należy rozkazywać“. Na co X. Darbois: „Dla Boga, nie, ty rozkazuj!“ Po kilkakrotnem pociągnięciu tego rozkosznego dymu z cybucha przyniesiono herbatę. Znów te same oryginalne życzenia, których już nie przytaczam, bo nie warto.

Miałbym jeszcze wiele do opowiadania o spoczynku i o samem łóżku, lecz to zatrzymałoby mnie za długo. Powiem tylko tyle, że przez całą noc oka nie zmrużyłem z wycia psów nad naszemi głowami, kłucia całych batalionów pcheł zmusiły mnie do czuwania i trzymały w najwyższem rozdrażnieniu. Na drugi dzień, po odprawieniu mszy świętej wczesnym rankiem, udaliśmy się w otoczeniu kilkuset jeźdźców zbrojnych od stóp do głowy do wioski Chibani. Już nas tu wyprzedzono, wydobywając z pod gruzów trupy na wpół zwęglone, które kobiety składały wśród łez do trumien. Przyprowadzono wozy, zaprzężone w bawoły do wożenia trupów, lecz górale na własnych barkach nieśli trumny, pomimo, że wydobywał się z nich straszliwy odór. Urządzono procesyę żałobną; za każdą trumną postępowała grupka kobiet ubranych w żałobę, okazując boleść w najekscentryczniejszy sposób, znany tylko na wschodzie. Biedny starzec szczególnie nas wzruszył; stracił bowiem trzech synów, dlatego też boleść jego nie miała granic a objawiał ją na sposób wschodni: płakał, śpiewał, urągał z nas, żeśmy nie przyszli na pomoc jego dzieciom. Uderzał się obu rękami po głowie, posypując ją szczodrze piaskiem zgarnianym po drodze. W czasie tego pochodu żałobnego szydzili Kurdowie z nas, strzelając do

nas na urągowisko z wysokich swych kryjówek; wieś bowiem ich leżała wysoko nad nami, na stoku góry na obszernej równinie. Nasi ludzie, dotknięci tem do żywego, chcieli im na to odpowiedzieć szturmem do ich wioski, od czego odwiódł ich X. Darbois z trudnością. Na cmentarzu odprawiliśmy ceremonie według rytuału chaldejskiego, poczem na sąsiedniej łące zasiadło do stypy pogrzebowej kilka tysięcy ludzi, najpierw mężczyźni, potem kobiety.

Wieś Marana ma siedemset katolików i coś trzysta nestoryan. Obecnie schroniło się tu 6000 ludzi z okolicznych wiosek, spalonych przez Kurdów. Wskutek takiego natłoku w krótkim czasie zapanowały choroby i głód. Biedni ci ludzie nie dostaną od rządu perskiego żadnego wsparcia, którego tak bardzo potrzebują.

Chiny.

Pogląd na działalność Zgromadzenia w wikaryatach chińskich.

W „Rocznikach" naszych podajemy jak najwierniej liczby statystyczne, jakie nam nadsyłają z różnych stron misyjnych. Obok wiadomości prawdziwie budujących, pocieszających a przytem wlewających w serca już zwątpiałe o skutku pracy misyonarskiej otuchę, nieodzowną jest rzeczą podać niektóre pewne, pozytywne i ścisłe wiadomości, któreby służyły jako podstawa dla ludzi myślących, którzy słusznie się ich od nas domagać mogą, podobnie jak w studyum nad pięknem dziełem sztuki, gdzie wprawny wzrok znawcy śledzi zrazu linie architektoniczne, stanowiące niejako istotę i treść dzieła, przechodząc potem zwolna do części ornamentyki, któremi zazwyczaj przyozdabiane bywają dzieła.

Zaznaczyliśmy więc, iż wszędzie wokoło nas, szczególniejszą zwraca się uwagę na szczegóły historyczne i statystyczne. — I tak w „Misyach katolickich" z 12 lutego 1904 czytamy następujący ustęp:

„Chiny. — W „Rocznikach Zgromadzenia Misyi“ znajdujemy ogólny przegląd prac, jakoteż owoców zebranych przez XX. Łazarzystów w siedmiu ich wikaryatach apostolskich. Liczba katolików nawróconych przez nich samych, wynosi 126.000. W siedmiu wikaryatach, ściśle do nich należących (3 w Cze-ly, 3 w Kiang-si, 1 w Cze-kiang) pracuje ogółem: 9 biskupów, 90 kapłanów europejczyków, 114 kapłanów krajowców, 12 braci i 155 Sióstr Miłosierdzia. Kościołów i kaplic posiadają 820, zarządzając nadto 13 seminaryami liczącemi 325 seminarzystów, 709 szkołami, 30 szpitalami, 35-ciu ochronkami. Liczba ochrzczonych dorosłych z roku 1902 na 1903 dochodziła do 10.544, a dzieci do 35.528“.

Męczeństwo X. Andrzeja Tsu, kapłana Zgromadzenia Misyi w Chinach.

W „Rocznikach rozkrzewiania wiary“ (z marca 1904) napotykamy ustęp następujący:

„Zaprawdę, niema niczego więcej wzruszającego a zarazem boleśniejszego nad podaną tu niżej wiadomość. Jest to nowa, jedna z tych drogich kart pięknego martyrologium świętego w Chinach. Cze-kiang, które dotąd nie dało jeszcze żadnego dowodu gorliwej swojej miłości ku Bogu, poświęca w nim niebu pierwszego stałego a mężnego swojego wyznawcę wiary. Krew przelana przez tego męczennika, niewątpliwie ściągnie hojne błogosławieństwo i skarby Niebios na piękną tą misyę“.

List X. Renaud, kapłana Zgromadzenia Misyi, wikaryusza apostolskiego w Cze-Kiang.

Dozwólcie mi donieść wam o okrutnej lecz heroicznej śmierci pewnego młodego misyonarza chińczyka. Opłakujemy jego zgon, lecz pełni podziwienia patrzymy na to poświęcenie jego dla wiernych swoich chrześcijan, którego padł ofiarą.

X. Andrzej Tsu liczył zaledwo lat 28. Do Zgromadzenia wstąpił w r. 1892 w Ning-Po. Od roku niespełna pracował on gorliwie nad wzniesieniem z ruin domów naszych w podprefekturze Ning-Hai, odległej o 25 mil od Ning-Po. Rewolucya z roku 1900 przeszła i tędy, niszcząc i paląc wszystko poza sobą. Z zapałem i odwagą, której żadne trudności zachwiać nie zdołały, zabrał się do tego dzieła. Wkrótce nowe środowiska otwarły się dla wiary, więcej niż 1500 katechumenów oczekiwało przyjęcia chrztu świętego. Nalegał więc na mnie prośbami swojemi, abym przybył z błogosławieństwem i uwieńczył to dzieło jego wizytą pasterską, a oto, on sam miał je poświęcić przelaniem swej krwi męczeńskiej.

Wznosząc mury podupadłych świątyń za przykładem żydów odbudowywujących świątynię jerozolimską wśród zewsząd na nich napadających nieprzyjaciół, bacznem swojem okiem śledził nieustannie horyzont, na którym zaczęły się ukazywać groźne a ponure chmury zawieruchy, grożącej upadkiem i nowem zniszczeniem niestrudzonej jego pracy przez nieprzyjaciela, grasującego nielitościwie w okolicy.

Nieprzyjacielem tym był Quang-si-ton, główny sprawca nieszczęść z roku 1900. Mniemał on, iż doszczętnie zniweczył naszą pracę; lecz oto, widząc na nowo szybko powstające nasze dzieło, nowym lecz gwałtowniejszym jeszcze ku nam zawrzał gniewem. Wydał więc odezwę do wspólników swoich zbrodni, zebrał liczne gromady rozbójników, pozyskawszy ich nadzieją obfitego łupu, rozdzielił między nich broń, amunicyę i oznaki wojenne z godłem: „śmierć chrześcijanom!“.

W chwili jednak, w której Quang-si-ton wyruszył na tę wyprawę zniszczenia, X. Andrzej Tsu przebywał w Ning-Po. Przybył tu dotąd jedynie dlatego, bo chciał wspólnie z nami przepędzić uroczystość z 27 września, a w której z radością udział liczny wzięła ludność i mandaryni. Lecz wśród powszechnej tej radości, jakby smętne echo dzwonu pogrzebowego, rozległa się wiadomość smutna o pierwszych ofia-

rach, 3 neofitach, którzy pierwsi padli ofiarą zawziętości Quang-si-tona.

Odtąd też, dzień po dniu coraz to więcej smutniejsze nadchodziły wieści. Chrześcijanie zewsząd uciśnieni i ścigani, w ucieczce szukali ratunku. Ogień i zniszczenie kroczyły śladem tych rozbójników, których dzikim zapędom nikt nie odważył się stawić skutecznego oporu.

Konfrater nasz drogi na wiadomość o tych wypadkach stracił wszelki apetyt do pożywienia i do snu. Dniem i nocą słyszał jakby na jawie rozpaczliwe jęki i wołania swoich owieczek. Chciał pospieszyć z pomocą na ich ratunek, jakoteż i dla pokrzepienia ich na duchu i pocieszenia ich w chwili śmierci.

O groźnem tem położeniu doniosłem natychmiast generałowi i tav-tai z Ning-Po. Przyrzekli mi, iż użyją wszelkich sposobów dla stłumienia tego ruchu oraz ukarania winnych. Przyrzeczenie ich było szczere; niestety, nie byli posłuchani. Pułkownik Tsiou, któremu zalecono przywrócenie porządku i ładu, przybył nawet pożegnać się ze mną przed swojem wyruszeniem. Przytem zapewniał mnie, iż w razie niebezpieczeństwa, jakieby mogło zagrażać życiu X. Tsu, on gotów życie swoje poświęcić w jego obronie.

Słowa jego uspokoiły moją obawę o los tego kapłana; skądinąd zresztą sytuacya ta nie była jeszcze tak rozpaczliwą, bo rozchodziło się tu tylko o zaburzenie miejscowe, gwałtowne wprawdzie, lecz wywołane jedynie przez prostych rozbójników, które łatwo mogło być uśmierzone przy użyciu nawet garstki żołnierzy.

Ucieklišmy się jednak i do pomocy duchownej. Wszyscy gorące zanosiliśmy modlitwy do Boga, a ponieważ rozpoczynało się nabożeństwo październikowe, sprawę tę poleciliśmy szczególniejszej opiece Najśw. Maryi Panny Różańcowej.

Wszystko zatem wróżyło nam pomyślne załatwienie tej sprawy.

X. Andrzej Tsu więc pożegnał nas pełen otuchy i nadziei, czując się bardzo szczęśliwym, iż może nieść ratunek

i zbawienie drogim swoim owieczkom. Niestety, opuścił nas, i to na zawsze, bo poszedł on z nimi razem poledz. Nie wiem naprawdę, dlaczego stanęły mi łzy w oczach w chwili, kiedy udzielałem mu ostatniego mojego błogosławieństwa.

Wyruszywszy w drogę 28 września, drogi nasz konfrater stanął w Ning-Hai 1-go października. Ach, jak bolesne wieści dolatywały jego uszu! jak strasznych i okropnych scen był świadkiem! Biedni chrześcijanie tułali się, nigdzie nie znajdując miejsca schronienia przed swymi prześladowcami. Gromady tych rozbójników stanęły już prawie u wrót tego miasta, mordując i niszcząc wszystko poza sobą, a ze strony władz miejscowych nie przedsięwzięto jeszcze ani jednego kroku dla położenia końca tym okropnościom, jakich się ci napastnicy dopuszczali.

Tak samo i dzień 2-go października przeszedł tylko na rozpaczliwem a próżnem wzywaniu pomocy mandarynów, których jakiekolwiek wystąpienie mogło doszczętnie zniszczyć tę armię napastniczą. Wszystkiego jednak zaniechano.

Tymczasem po naradzie, jaką podprefekt i pułkownik ze sobą odbyli, postanowili X. Andrzeja Tsu odstawić do Ning-Po. Lecz było to wystawienie go na śmierć niechybną, gdyż na wszystkich drogach i ścieżynach czyhali mordercy. O tem wiedzieli oni dobrze. X. Andrzej Tsu odrzucił tę zdradziecką propozycyę.

Zresztą całe ich zachowanie się, zdradzało pewne porozumienie i znoszenie się z buntownikami; brutalnie też odpędzali chrześcijan od swych trybunałów, szukających w nich schronienia i pomocy. Sam podprefekt aż potrzykroć odmówił misyonarzowi wstępu do swego pretoryum. Kiedy więc już wszelka nadzieja pomocy rządowej znikła, X. Tsu zajął się zabezpieczeniem archiwum, naczyń kościelnych, oraz listy chrześcijan, a chrześcijan, pozbawionych wszelkiej opieki, chronił u rodzin pogańskich. Nakoniec rozpuścił też całą służbę i personal swojej rezydencyi, a do jednego z katechistów, niechcącego go opuścić, mniej więcej w te słowa przemówił: „Dobro innych wymaga, abyś uchodził, jeżeli się

nie mamy wspólnie narazić na niechybne niebezpieczeństwo śmierci. Rozdzieleni, łatwiej się uda jednemu z nas umknąć przed śmiercią i donieść o zaszłych wypadkach X. biskupowi. Ponieważ zaś pułkownik jest odpowiedzialny za moje życie, i przyrzekł mnie bronić, przeto jemu powinienem cię oddać".

Katechistę nazajutrz ujęto i strzeżono pilnie dla Quang-si-tuna, który wyznaczył na głowę jego znaczną kwotę; po kilku jednak dniach wydostał się na wolność, okupiwszy się za 1400 piastrów (1 piastr = 2 do 5 franków). Odebrano mu też list X. Tsu, w którym tenże po raz już ostatni się ze mną żegnał i zwierzał z swych uczuć głębokich; żal mi bardzo, iż nie odebrałem tej drogiej po nim pamiątki.

Konfrater nasz kochany nie miał nikogo przy sobie prócz chłopca piętnastoletniego, usługującego mu przy mszy św. W jego to towarzystwie, silną gorączką trawiony, udaje się wieczorem do obozu pułkownika, rozbitego pod główną pagodą miasta, a leżącego w niedalekiej odległości od domu naszego misyjnego. Na modlitwach i we łzach przepędził tu tę ostatnią noc pełną mąk i katuszy duchowych.

Rankiem 3-go października napastnicy skierowali wszystkie swoje siły na to miasto, zapaliwszy jeszcze przedtem nasz kościół w Fong-teou. Gdy już się zbliżyli pod samo miasto, pułkownik Tsiu wyjechał na ich spotkanie w celu porozumienia się z Quang-si-tonem. Po powrocie jego do miasta, napastnicy zapewnieni, iż żadnego oporu nie doznają, śmiało nacierali na to miasto.

Bramy pretoryum, tak pilnie strzeżone i zamknięte przed chrześcijanami szukającymi ochrony, otwarły się na oścież na przyjęcie tej bandy zbójeckiej. Odwach wojskowy, stojący na wałach otrzymał nawet rozkaz wpuszczenia tych napastników w spokoju.

Niezadługo potem budynki nasze misyjne, oblane naftą, stanęły w płomieniach. Z pagody X. Tsu przyglądał się temu zniszczeniu oraz słyszał ich dzikie śmiechy i okrzyki radości. Kiedy jednak bandy te zwróciły się teraz ku pagodzie, X. Tsu zawołał do siebie chłopca i rzekł do niego: „Uciekaj śpie-

sznie, nikt cię nie zna, możesz się jeszcze schronić, dla mnie jest to już niemożebnem“.

W chwili kiedy chłopak uciekał, napastnicy wysadzali już bramę główną pagody. Wojsko ze spokojem i w milczeniu przyglądało się temu napadowi, bo taki był rozkaz dany z góry. Z miejsca ukrycia swego kochany nasz konfrater słyszał, jak Quang-si-ton dopominał się o jego głowę. Miał jednak nadzieję, iż mandaryni nie ośmielą się na tę ostateczną nikczemność opuszczenia i wydania misyonarza w ręce tych rozbójników, zwłaszcza, iż obowiązkiem ich było strzedz życia X. Tsu, będąc przytem odpowiedzialnymi za wszystkie wydarzenia, jakie by go mogły spotkać. Lecz niestety, i ta ostatnia nadzieja znikła.

Napastnicy wpadają do pagody; X. Tsu chroni się do domu sąsiedniego, wkrótce jednak i tu dotąd docierają, bo schronienie jego odkryto. Schwytanego wywlekli na ulicę i tu licznymi okryli go ranami. Zadano mu dwa cięcia szablą w czoło i czaszkę oraz głęboką ranę w szyję. Był już prawie na wpół umarły; jedni z tych okrutników chcieli go dobić na miejscu, inni jednak się temu oparli, i tak zbroczonego krwią zawlekli do pagody. Chcieli go tu bożkom na ofiarę poświęcić, lecz podprefekt oparł się temu i rozkazał go z pagody wyprowadzić. Zawlekli go teraz na pole ćwiczeń wojskowych, poza bramą południową miasta leżące. Tu zapewnie, już kiedy ducha swojego oddał Bogu, odcięto mu głowę, a ciało jego rozkawałkowano na drobne cząsteczki. Rozpruto mu nawet brzuch w kształcie krzyża, bo jak mówili „bardzo umiłował krzyż“. Jeden zaś z tych okrutników, dzikszy od wszystkich innych, wyrwał mu serce i spożył je. Fakt to rzeczywisty i wiarogodny. Zresztą czyny podobne często natrafiają się u rozbójników morskich, którzy w tem chcą odkryć tajemnicę wielkiej odwagi.

Po dwu dniach cząsteczki rozrzucone i poszarpane drogiego tego konfratra zebrano do trumny.

Sprawiedliwość jednak zaczęła dosięgać winnych. Mandaryni, którzy w tak nikczemny sposób wydali osobę im po-

wierzoną na rzeź, zrzuceni z swych godności, wyglądają w więzieniu surowego wyroku sądu. Z rozbójników samych kilku schwytano i uwięziono, innych ukarano śmiercią. Quang-si-ton, ścigany niestrudzenie, zapewnie niedługo będzie mógł uchodzić przed sprawiedliwym mieczem wyroku śmierci, nałożonego na jego głowę.

Lecz cóż nam zastąpi tę stratę młodego tego misyonarza? Uczucie pewnej dumy miesza się ze łzami naszemi, a smutek nasz łagodzi pamięć, iż nowego otrzymaliśmy obrońcę i opiekuna w Niebie.

Afryka. — Abisynia.

List X. M. Sournac'a ze Zgrom. XX. Misyonarzy do przewielebnego X. Generała A. Fiat'a.

Alitiena, 19 września 1903 r.

Przewielebny Ojcze!

Proszę o błogosławieństwo.

Niech mi będzie wolno podziękować Drogiemu Ojcu za łaskawie udzielone mi pozwolenie na wyjazd do Abisynii, dokąd w dobrem zdrowiu przybyliśmy. Wiesz już, że podróż po morzu Śródziemnem udała się wyśmienicie i umożliwiła nam odprawianie Mszy św. codziennie. W Aleksandryi po drobnych trudnościach z komisarzami muzułmańskimi przyjął nas gościnnie X. Coury z konfratrami, którym dzień naszego przyjazdu nie był wiadomy. Byliśmy już na gorącej ziemi afrykańskiej. Brat Priol, którego notabene spodziewałem się znaleść w Alitienie, dwoił się i troił, ażeby nas zapoznać ze stosunkami naszej przybranej ojczyzny, jak również z wieloma Siostrami Miłosierdzia, które byłyby gotowe odpłynąć do ich ukochanej Abisynii, gdyby stosowny czas nadszedł. Po ośmiu dniach wsiedliśmy na okręt włoski Po, który miał nas zawieść do Massavuah. Wkrótce morze Śród-

ziemne chciało nam pokazać swą władzę i potęgę nawet nad największymi okrętami. Trzymaliśmy się ostro, tak że nazajutrz mogliśmy wysiąść w Port-Said dla odprawienia Mszy św. u OO. Franciszkanów, przyczem nie zaniedbaliśmy zapisać się w księdze pamiątkowej obok naszych konfratrów, którzy tu tędy do Chin jechali. Kanał Sueski i morze Czerwone miały w pierwszych czterech dniach litość nad nieobytymi z morzem i żarem tropikalnym podróżnikami, w piątym dopiero dniu morze zaczęło pomrukiwać, a i słońce nie oszczędzało nas. Przybyliśmy do Massavuah w niedzielę 30 sierpnia, gdzie przyjął nas gościnnie w starym domu, postawionym przez naszych konfratrów, pewien Ojciec Franciszkanin, który właśnie opuszcza parafię. Niestety, mimo najszczerszych chęci wydostania się z tego pieca byliśmy zmuszeni przez siedem dni i nocy oddychać tem gorącem powietrzem. W tej biedzie pocieszył nas przyjazd Ojca Francesco, który, pełen szacunku i wspaniałomyślności dla nas, posunął swoją szczodrobliwą gościnność do tego, że pozwolił nam w dniu 4 września uroczyście obchodzić wesele niebieskie naszego ukochanego Ojca. Po pomodleniu się w kaplicy naszych konfratrów z Aleksandryi nad grobem X. Bel, byliśmy również szczęśliwymi, że mogliśmy uklęknąć przy grobach X. Biancheri i X. Touvier, tych dzielnych towarzyszów i godnych następców wielebnego Ojca Jacobis'a, apostoła Abisynii, na którego grób sami muzułmanie patrzą z religijnem poszanowaniem, a który ujrzeliśmy z daleka.

Nakoniec po odjeździe dość licznych włoskich oficerów, którzy z nami na tym samym okręcie przyjechali, byliśmy w możności przedsiębrać podróż koleją, jedyną w całej Abisynii, która kursuje trzy razy na tydzień z Massavuah do Asmary, nowej stolicy Erytrei. W jednej nocy znaleźliśmy się na wysokości 2500 metrów, przez co oczywiście zostawiliśmy za sobą i skwar podzwrotnikowy i gorące piaski pustyni Massavuah. W Asmarze spotkaliśmy się z ośmiu elewami z Alitieny, którzy w celu przywitania się z nami i towarzyszenia nam aż do naszego nowego domu, zrobili drogę

czterodniową na mułach. Po wizycie u generalnego gubernatora, gdzie nas bardzo serdecznie przyjęto i po przywitaniu się z OO. Franciszkanami, wyjechaliśmy nazajutrz na naszych mułach i o godzinie 6-tej wieczór przybyliśmy bez przeszkody do wioski katolickiej Afalva, gdzie pierwszy raz mogliśmy przypatrzyć się życiu abisyńskiemu. Z konieczności musieliśmy zatrzymać się u tamtejszych księży, starych wychowanków z Keren, którzy nam natychmiast jedno koźlę w darze przynieśli dla nas i dla naszych dzieci; nie zapomnieli też o zaopatrzeniu naszych mułów. Podczas gdy zajęto się przyrządzaniem kozła, część chrześcijan, uwiadomiona o naszem przybyciu, przyniosła nam podarunki w formie chleba, mleka, jaj. Zaprawdę, kochany Ojcze, myśmy się takiego przyjęcia nie spodziewali i w milczeniu podziwialiśmy wiarę tych katolików, natchnionych takim szacunkiem dla księży. Nie przyjąć ich podarunków, znaczyłoby to uczynić im krzywdę; poszliśmy więc za radą naszego boskiego Mistrza: *In quamcunque civitatem intraveritis et susceperint vos, manducate quae apponuntur vobis, et curate infirmos, qui in illa sunt.* Jedliśmy więc w towarzystwie jednego księdza kozła, chleb, jaja, piliśmy mleko i miodek, ofiarowany nam szczodrobliwością katolików. Ledwieśmy się od stołu podnieśli, przyszedł do nas jakiś człowiek z prośbą o jakie lekarstwo na katar. Chcielibyśmy być w tej chwili lekarzami; lecz ażeby uleczyć uporczywy katar od trzech miesięcy, na to potrzeba być cudotwórcą, a do tego nie mieliśmy ochoty się przyznawać. Z żalem, że nie mogliśmy przyjść z pomocą temu choremu, udaliśmy się na spoczynek, dokąd nas nasi gospodarze poprowadzili. Nazajutrz około 10-tej godziny wyruszyliśmy do Saganeibi, miasta dość znacznego kolonii włoskiej. Ledwieśmy przestąpili gościnne progi księży katolickich, dostaliśmy zaproszenie od gubernatora kraju, pana Allori. Natychmiast wyruszyliśmy, wyprzedzając o kilka minut wizytę projektowaną bez względu na wszystko, coby nam wypadało czynić. Przyjął nas natychmiast i zaprosił na śniadanie, wystarawszy się przedtem o pomieszkanie, któregobyśmy napróżno szu-

kali w mieście, liczącem oprócz załogi bardzo mało europejczyków. Podczas posiłku zaprosił nas komendant twierdzy na ucztę, którą wyprawił w tensam wieczór dla kilku oficerów. Dostaliśmy również od niego kilka ładnych mułów, na których grzbietach dostaliśmy się łatwiej do naszego mieszkania. Nazajutrz, po Mszy świętej i po skromnym posiłku u pana Allori puściliśmy się w drogę w towarzystwie gubernatora, komendanta garnizonu i pięciu innych oficerów, którzy się razem z nami udawali do Acli-Caïe. W podróży mieliśmy sposobność rozmawiania z jednym kapłanem, wyświęconym przez wielebnego X. Jacobis'a. Oprócz niego żyje jeszcze dwóch wyświęconych przez wiel. Konfratra. Kapłan ten budował nas swoją rozmową, opowiadając wiele o swym Konfratrze świątobliwym biskupie-apostole. Wielu katolików z wójtem wioski na czele przyszło nas odwiedzić.

Przybywszy do Adi-Caïe, przyjął nas gubernator, ofiarując nam pokoje na noc; mułom zaś naszym wystarał się o stajnię. Zaprosił nas również na ucztę, wyprawioną dla oficerów przybyłych do niego na kilka dni w gościnę. Posługiwaliśmy się podczas rozmowy językiem francuskim i włoskim. Nie byłoby w Adi-Caïe tym wszystkim przyjęciom końca, gdyby nas nie był pan de Rossi, rezydent w Senafie, do siebie zaprosił, chociaż nas nie mógł dla zajęć osobiście przyjmować. Uważając go za przyjaciela Misyi, przyjęliśmy zaproszenie; zaraz też nazajutrz po pożegnaniu się z naczelnikiem krajowców z Adi-Caïe, starym wychowankiem naszych konfratrów, który zechciał nam pół godziny w drodze towarzyszyć, ażeby nam starożytne ruiny pokazać, wyruszyliśmy w drogę i w przeciągu trzech godzin stanęliśmy w Senafie, wiosce całkiem muzułmańskiej. Serdeczne przyjęcie przygotował nam delegat pana de Rossi. Pod wieczór, kiedy słonko ostatnie na ziemię rzucało promienie, przybyliśmy do ostatniej wioski kolonii włoskiej, gdzie bawiliśmy około pięć godzin u tamtejszych księży katolickich. Ku wielkiej radości zastaliśmy tam kilku przybyłych naprzeciw nam seminarzystów z Alitieny, celu naszej podróży. Podczas posiłku oto-

czyło nas kilku krajowców; byliśmy ich przywiązaniem do księży katolickich rozrzewnieni, szkoda tylko, żeśmy się musieli porozumiewać na migi.

Na drugi dzień jeszcze raz przyszło kilku patryarchów wioski, żeby nam ręce ucałować, dowiedzieliśmy się też wtedy, że wszyscy mieszkańcy tej wioski są dobrymi chrześcijanami. Są to rodziny, które po niedawnem prześladowaniu chrześcijan w Gonala, dotąd się przeniosły, żeby módz swobodnie wiarę katolicką praktykować. Ich naczelnik chciał nam nawet towarzyszyć w drodze do Alitieny, gdzie stanęliśmy w piątek, 11 września, właśnie w rocznicę śmierci błogosławionego Jana Gabryela. Tak jak on za przybyciem do Chin wykrzyknęliśmy: „Stoimy u celu! Bogu niech będą dzięki, że nas użył jako narzędzie do rozszerzania Jego królestwa na ziemi!“.

Nie będę opisywał przyjęcia, jakie nam nasi kochani konfratrzy zgotowali; ty, przewielebny Ojcze, znasz księży: Edwarda Gruson, Picart, Van Revenstein i brata Riviére, żebyś mógł sobie wyobrazić, jak serdeczne było przyjęcie. X. Karol Gruson przybył w poniedziałek z Gonaly, aby nas przywitać i zapewnić, że szybkie będziemy robili postępy w nauce języka miejscowego. Mieszkańcy Alitieny zostali już dawniej o naszem przybyciu zawiadomieni; urządzili nam owacyę, zwłaszcza, że Nowy rok przypada u nich właśnie na dzień śmierci błogosławionego Jana Gabryela. Naczelnik z Agamiè przybył również, żeby nowych misyonarzy obdarować 10 kozłami i 16 zbożem obarczonymi mułami.

Najukochańszy Ojcze! pisząc ten list, ten jeden miałem cel, by ci oznajmić szczęśliwe nasze przybycie do kraju Menelika; przepraszam, że list ten w rękach gaduły przybrał rozmiary dość poważne. Chciałbym, żeby on przyniósł minimalną pociechę twemu stroskanemu sercu a mnie wyjednał u Ciebie szczególne błogosławieństwo, którego, jak się spodziewam, mi nie odmówisz, etc.

Sournac C. M.

KRONIKA.

Kraków. Kleparz. Ciężkim smutkiem nawiedził Bóg Zgromadzenie nasze, powołując na wieczny spoczynek X. Kazimierza Siemaszkę. Zanim podadzą „Roczniki" biografię jego, choć kilku słowami należy oddać hołd i cześć nieboszczykowi. Ś. p. X. Kaz. Siemaszko urodził się dnia 19 grudnia 1847 r. w Dyckojniach na Żmudzi. Po odbytych studyach gimnazyalnych, przepisanych pod zaborem rosyjskim, udał się za granicę, a czując w sobie powołanie do stanu duchownego, poświęcił się zawodowi Misyonarza. Całe życie jego, jakie przepędził w naszem Zgromadzeniu było dowodem wielkiej miłości ku Bogu i bliźniemu. Umarł dnia 20 maja 1904 r. w wieku lat 57, powołania 34. Stratę tę odczuło Zgromadzenie nasze boleśnie a wraz z niem całe społeczeństwo polskie, tracąc w ś. p. X. Siemaszce opiekuna ubogich i opuszczonych dzieci.

Stradom. W naszym domu na Stradomiu zmarł 26 maja b. r. nasz kochany Konfrater ś. p. X. Jan Łęgowski. Śmiało można powiedzieć o nim, że za krótki czas wypełnił czasów wiele. Nie zajaśniał wielkimi czynami, ale natomiast dał nam ze siebie wzór wielkich cnót.

Ś. p. X. Jan Łęgowski urodził się w r. 1880 w Pniewotte w Prusach Zachodnich. Bogobojni rodzice jego wyprosili go sobie u P. Boga, bo mając już coś 6 córek, nie mieli żadnego syna. We wczesnej młodości stracił rodziców a wszystkie siostry wstąpiły do zakonu. Tak młody Jan został sam jako sierota opuszczony przez wszystkich. Później przepędziwszy rok w gimnazyum w Chełmnie, wstąpił do naszego

małego Seminaryum na Kleparzu w r. 1895. Po odprawieniu dwuletniego Seminaryum złożył śluby św. w r. 1901. Odznaczał się zawsze gruntowną pobożnością, sumiennością w spełnianiu swych obowiązków i wielką pilnością w naukach. Przełożeni cieszyli się nim, spodziewając się, że będzie zeń gorliwy Kapłan i wzorowy Misyonarz, zwłaszcza że przytem był zawsze zdrowym.

Tymczasem już w jesieni 1901 r. doznał kilka razy krwotoków, skąd wywiązała się gruźlica, która go odtąd trawiła przez 3 lata. Z roku na rok przepowiadali mu lekarze śmierć, on jednak przy tem wszystkiem chorobie się nie poddawał ale całą energią chciał ją stłumić. Rwał się do pracy i ćwiczeń pobożnych, w niczem nie chciał się odróżniać od swych zdrowych kolegów. Robili przełożeni wszystko co tylko mogli aby go utrzymać przy życiu. Jeszcze miesiąc przed śmiercią pojechał do Zakopanego, sądząc że pomoże mu zdrowe, górskie powietrze, lecz choroby niczem nie dało się zatrzymać. Tymczasem przełożeni uznając jego cnotę, jego wielkie nabożeństwo do Najśw. Sakramentu, przyspieszyli mu święcenia kapłańskie o całe dwa lata, które przyjął 25 marca b. r. Od chwili wszakże przyjęcia subdyakonatu, t. j. od 6 marca pogorszył się znacznie stan jego zdrowia, silna gorączka nie opuszczała go ani na chwilę, a resztę sił i zdrowia podkopały suchoty gardlane.

Kiedyśmy się według zwyczaju naszej małej kongregacyi na osobnej konferencyi zastanawiali nad cnotami ś. p. X. Jana, tyleśmy odnieśli stąd zbudowania, iż pragniemy się tem podzielić ze wszystkimi Konfratrami. Był on istotnie mężem doskonałym. Jaśniały u niego te cnoty, które są niejako podwalinami całego życia duchownego: poddanie się zupełne woli Bożej, sumienność w spełnianiu swych obowiązków i reguł, szczerość i prostota w stosunkach z przełożonymi i konfratrami, nadto wielka cierpliwość w cierpieniach a także gorące nabożeństwo do Najśw. Sakramentu i Matki Boskiej. Lubo wszystkiemi siłami rwał się do pracy i do życia, chciał się czemś wysłużyć Zgromadzeniu, to prze-

cież poznawszy, że nie taka jest wola Boża, poddał się Jej najzupełniej. Kiedy jeden z konfratrów pół żartem oświadczył, że gotów jest część jego cierpień wziąć na siebie, uśmiechnął się na to, mówiąc: „a może P. Bóg tak nie chce". Przytem całą ufność swą w Bogu złożył, nawet nie bardzo się oglądał za pomocą lekarską, zdawało mu się, że te wszystkie środki lekarskie przeszkadzają mu w ufności ku P. Bogu.

A jak był wiernym nawet najdrobniejszym regułom, wszyscy dobrze o tem wiedzą. Nigdy nie opuścił godzinnej modlitwy, często mimo słabości odprawiał ją klęcząc. Ćwiczenia pobożne były u niego na pierwszem miejscu, a gdy czasem nie mógł którego z nich odprawić, czuł stąd żywą boleść. Nigdy nie usłyszał nikt z ust jego i słowa skargi lub narzekania w cierpieniach. Wogóle nie lubił mówić o swojej chorobie a gdy go się spytano, czy bardzo cierpi, można było zaraz zauważyć, że nie lubi o tem wspominać.

W pożyciu z przełożonymi i konfratrami odznaczał się szczerością serdeczną i prostotą. Był gorącym czcicielem Najśw. Sakramentu. Komunię św. przyjmował zawsze z głęboką wiarą i wielkiej doznawał stąd boleści, jeżeli wśród choroby nie mógł czasem przez dłuższy czas przyjmować P. Jezusa. Do Matki Najśw. miał nabożeństwo wielkie, zawsze nosił Jej medaliki i figurkę przy sobie, koronkę aż do ostatniej chwili sumiennie odmawiał. To też P. Bóg wynagrodził tego sługę swego i śmierć jego napełniła nas smutkiem, ale również zostawiła nam tę pociechę, że z pewnością odebrał już zasłużoną koronę za cierpienia tak heroicznie znoszone.

Belgia. Theux. *Dziennik Poznański* z dnia 2 czerwca b. r. podaje ciekawe szczegóły o rozwoju pracy konfratrów nad wykształceniem umysłów i serc uczniów w Belgii.

Jak każdego roku tak i w tym podczas Zielonych Świątek zrobiłem wycieczkę do wolnej ziemi króla Belgów. Z Akwizgranu prowadzą do granicy dwie drogi i to przez Herbesthal, stacya pograniczna niemiecka, i przez Bleiberg.

Tuż za Bleiberg jest stacya Moresnet, miasteczko leżące pomiędzy trzema granicami, które się godzinę drogi za Akwizgranem stykają, o czem powiada kamień graniczny, wskazujący z jednej strony Niemcy, z drugiej Belgią a z trzeciej Holandyą.

Moresnet, to miasto wolne stojące pod własnym zarządem, nie należące do nikogo, tak zwane „neutrales Gebiet". Swego czasu przy normowaniu granic państw na kongresie wiedeńskim w r. 1815, zapomniano o Moresnecie.

Dalej jedzie się już przez dość długie tunele, lampy w wagonach palą się w dzień i w noc — przyjeżdża się wreszcie do Verviers, znanego miasta fabrycznego. Tu trzeba bagaż poddać rewizyi celnej, co odbywa się z znaną tutaj uprzejmośoią, cechującą francuzów.

Stąd rozchodzą się drogi żelazne do Niemiec, Holandyi, Brukseli i Antwerpii. Jestem więc już w Ardenach. Jadę dalej pociągiem do Spa. W drodze zatrzymuję się w miasteczku Theux, siedem kilometrów przed Spa i tu kończę moją podróż, wracając wieczorem do Akwizgranu.

I cóż spowodowało tę przerwę? Otóż widząc z daleka na górze dość stromej ruiny zamczyska, zapytuję moich towarzyszy podróży: Cóż to za ruiny? — Warto je zwiedzić a zarazem i pedagogium pod górą się znajdujące — odpowiadają. Wysiadam. Zwracają mi francuzi uwagę, że właśnie pod tą górą w pięknej dolinie znajduje się „Collegium Marianum", zakład dla kształcącej się młodzieży, a więc progimnazyum aż do wyższej sekundy incl. z wykładem niemieckim, idąc ściśle podług planu przepisanego gimnazyom niemieckim.

Zakład ten jest pod zarządem księży Misyonarzy, zwanymi Łazarzystami (Zgromadzenie to założone przez św. Wincentego à Paulo w r. 1626 w Paryżu). Zgromadzenie żeńskie to nasze kochane siostry Szaretki, które aż do walki kulturnej prawie we wszystkich większych miastach Księstwa znaleść było można. Dziś tylko w Poznaniu i Wrześni pozostać im pozwolono. Któżby ich nie znał tych aniołów dobroci

miłosierdzia i poświęcenia się dla bliźnich? Znamy ich my starsi, będąc chłopcami chodziliśmy do nich, jak się to mówiło: „do ochrony“ na zabawkę, a zostawszy mężami, poznaliśmy je na polu walki pod Królowogrodem i na pobojowiskach w latach 1870/71. Ileż to z nich udekorowano krzyżem zasług za poświęcenie się rannym żołnierzom, a później z wdzięczności podczas walki kulturnej, kazano im iść tam — gdzie pieprz rośnie. Widzieliśmy je opuszczające z łzą w oku miejsca ulubionego zacisza i żegnaliśmy je również ze łzami w oczach, życząc szczęśliwego powrotu?! Inaczej się stało. Nie nam sądzić wypada — niech sądzi ten — w którego ręku losy narodów.

Misyonarze, którym nie wolno osiedlać się dotychczas w Niemczech, jako Misyonarze zajmują się nietylko nawracaniem indyan w Południowej Ameryce i innych krajach, ale i zarazem wychowaniem młodzieży, a za świetnych czasów naszych byli oni lektorami seminaryów duchownych w Warszawie i w innych miastach Królestwa Polskiego, o czem wspomina Brockhaus w swej encyklopedyi. Przypominając sobie po drodze dawne czasy, idę przez miasteczko dość czyste, położone w dolinie Ardenów, które przerzyna jakiś strumyk, płynący z gór, obecnie wskazujący bardzo niski stan wody, ale z początkiem wiosny gdy na górach śniegi topnieją staje się rzeką dość groźną.

Tuż za miastem, pod stromą górą, stoi zakład z pięknym kościołem w stylu gotyckim, a ponad nim wznoszą się na urwisku skały ruiny zamku dawnych hrabiów flamandskich. Mieszkańcy bowiem Theux to waloni, mówiący narzeczem flamandzko-francuskim; po większej części zajmują się rolnictwem, mają także — jak mi jeden z księży opowiadał — własną literaturę.

Dochodzę wreszcie do furty i dzwonię. Braciszek otwiera. Przedstawiam się i proszę o pozwolenie zwiedzenia zakładu. Wprowadza mnie do poczekalni, oznajmiając, że zawiadomi X. Superyora. Pokój dość obszerny, czystość i porządek wzorowe, umeblowanie skromne ale bardzo przy-

zwoite; na stole leżą albumy z fotografiami zakładu i okolicy. Przeglądam takowe, wtem ktoś puka i wchodzi starzec w czarnej sutannie i z miłem i pogodnem obliczem — to przewielebny Superyor zakładu X. Doplan.

Gdy mu opowiedziałem cel mej podróży, z największą chęcią podjął się starzec ten 65-letni z młodzieńczą energią oprowadzić mnie po zakładzie, pokazując mi i objaśniając, co było widzenia godnem. Przeszliśmy zakłady rzemieślnicze, bo braciszkowie są zarazem rzemieślnikami — browar, gdzie warzą znakomite piwo, czyste i zdrowe. Potem zwiedziliśmy zakłady elektryczne, maszynerye, bo tak kościół jak i wszystkie zabudowania oświetlają elektrycznością. Klasy gimnazyum jasne i przestronne, również i sypialnie, a sale do wspólnej nauki bardzo obszerne. Są dwie: jedna dla niższych klas, druga dla wyższych. Nauka przysposobiania się na lekcye trwa rano półtorej godziny, popołudniu dwie godziny i to od 5 do 7. Zimą ogrzewają wszystkie sale parą.

Później zwiedziliśmy gabinet fizykalny, ogromny, z najnowszymi instrumentami fizykalnymi, za który nie powstydziłyby się największe zakłady wyższe. A jaki wszędzie porządek, jaka schlujność, aż miło spojrzeć. Kilka fortepianów stało także w kilku pokojach do użytku muzykalnych uczniów.

Idziemy dalej — wychodzą właśnie chłopcy bawić się na dziedziniec. Widać z ich oczu zadowolenie, a zdrowa cera i uśmiech na twarzy wskazują, że im tu dobrze być musi. Tuż za kościołem, który stoi w pośrodku obszernego dziedzińca, a cienistym wielkim ogrodem z sadzawką, na którym zauważyłem łabędzie, znajduje się wielki plac do zabawy i kręgielnia, a niedaleko tegoż ponad rzeką łazienka. Poza placem drugi ogród cienisty, przeznaczony do spacerów dla księży i uczniów, a wznoszący się aż do ruin zamkowych z szerokiemi gankami i ławkami, przeznaczonemi na wypoczynek.

Pomiędzy uczniami, jak mi X. Superyor opowiadał, pochodzi większa część z Nadrenii i Westfalii, kilku ze Ślą-

ska, a jeden nawet rodem z W. Księstwa Poznańskiego i jeden z Barcelony, więc z Hiszpanii.

Jest ich tam obecnie około 120; księży z klerykami — bo tam jest również seminaryum duchowne — 40 i braciszków przeszło 40. Razem przeszło 200 osób. Porządek i rygor w zakładzie wielki, wszystko idzie podług zegarka. Każdy musi pełnić swój obowiązek i uczyć się pilnie; kto lenistwem i krnąbrnością zły przykład daje, zakład opuścić jest zniewolony. Uczniowie wstają o godzinie 5 rano, mając dziesięć minut czasu do ubrania się, idą potem wspólnie na modlitwę. Po modlitwie silentium do godziny 6 i pół, potem Msza św. do 7, śniadanie, pół godziny przerwy i nadchodzi godzina 8, lekcye się rozpoczynają i trwają z przepisaną przerwą do godziny 12. O godzinie $12^1/_4$ wspólny obiad, po obiedzie rekreacya a o godzinie 2 rozpoczyna się znowu nauka i trwa do 4. Do godziny 5 podwieczorek i wolne potem silentium do godziny 7, kolacya, wolne do 9, wspólna modlitwa i wszyscy udają się na spoczynek.

W środy i niedziele idą wszyscy wspólnie 2 godziny na przechadzkę w urocze okolice Ardenów a raz w miesiąc wybierają się na cały dzień na dalszą wycieczkę. Ferye tylko dwa razy do roku i to na Wielkanoc 4 tygodnie a wielkie ferye 6 tygodni — od połowy sierpnia do końca września.

Stół — jak mi powiadano — wyśmienity, zdrowy i pożywny i szklaneczka piwa z własnego browaru do obiadu.

Po skończonym spacerze w ogrodzie i miłej konwersacyi zaprosił mnie X. Superyor na szklaneczkę piwka do refectorium, opowiadając o losach swych braci pomiędzy indyanami. Podczas gawędki zapytałem, ile też kosztuje utrzymanie chłopca w zakładzie? „Ze wszystkiem płaci się rocznie włącznie wakacyi 660 marek w trzech rocznych ratach praenumerando".

Uczniowie składający egzamin przy zakładach w Niemczech są potem dobrymi uczniami i postępują w naukach znakomicie. Prawda, że droga daleka do Belgii, jednakże rodzice lepiej sytuowani, nie powinni szczędzić kosztów

a mianowicie dla chłopców, którzy skończyli lat 14 i synów swoich, mianowicie takich, którzy mając talent a dla braku odpowiedniego dozoru nie postępują w klasie, a z pewnością wrócą z niego nieskazitelni na duszy i ciele, nauczywszy się chwalić Boga a przytem samodzielnie pracować.

Podróż na miejsce kosztuje, jadąc z Poznania na Berlin-Düsseldorf-Akwizgran do Theux — trzecią klasą — mniej-więcej 36 marek. Do zakładu przyjmują na Wielkanoc i na św.. Michał. Prospekta na żądanie przesyłają księża franco.

Adres: „Collegium Marianum“ — Theux — Belgien“. Znaczek pocztowy 20-fenygowy.

Korespondencyę z Ojcami można prowadzić w języku niemieckim, francuskim lub angielskim.

Azya. Mimo przelanej krwi i tysiącznych trudności, jakie mają do zwalczenia Misyonarze, praca ich a zwłaszcza w Chinach wydaje pomyślne rezultaty. W rocznikach Zgromadzenia, wychodzących we Francyi, mamy zestawienie prac konfratrów. Misyonarze mają w Chinach 7 wikaryatów apostolskich, ilość ewangelizowanych katolików w cesarstwia chińskiem wynosi 126.000 osób, biskupów jest 7, kapłanów 90 europejskich, 114 krajowców, braci koadjutorów 12, Sióstr Miłosierdzia 155, kościołów i kaplic 820, seminaryów 13, seminarzystów 325, kolegiów i szkół 706, szpitali 30, przytulisk 25. W r. 1903 ochrzczono w Chinach 10.544 dorosłych pogan i 35.258 dzieci pogańskich.

Śmierć siostry Sion, przełożonej w Jerozolimie. Przeczucie, wyrażone w liście do Misyj katolickich, niebawem miało się spełnić; śmierć jej pięknie opisuje X. Legrand w liście do Misyj katolickich. W wieku lat 57 zasnęła w Panu ta, której serce miłosierdziem obejmowało całe miasto. Cztery ostatnie miesiące były dla niej nieustannem męczeństwem. Na wzór O. generała Etienne błagała Boga, by jej do końca dozwolił władać głową i sercem, tę też łaskę otrzymała, doznając strasznych cierpień na całem ciele. Przyciśniona boleściami, zdawała się spoczywać spokojnie w rękach Opatrzności, nie dozwalając wydobyć się jękom, które

gwałtem cierpienie usiłowało wycisnąć wśród dni i nocy. Przy położeniu kamienia węgielnego pod kaplicę mogła na na chwilę opuścić łoże i przypatrywać się poświęceniu miejsca, na którem wskutek jej zabiegów miała stanąć świątynia; a lud, widząc ją w tym smutnym stanie, zalewał się łzami. Śmierć jej nastąpiła w wigilię Wszystkich Świętych po pożegnaniu się z wszystkimi drogimi jej sercu, w sobotę, w którym to dniu tak bardzo pragnęła zakończyć życie.

Pogrzeb, który się odbył 2 listopada, zgromadził całe tłumy ludu i dygnitarzy miasta, odczuwających głęboko stratę, jaką ponieśli przez śmierć najdroższej Siostry i smutny orszak zdawał się głęboko wynurzać w modłach, by Jerozolima nie utraciła i po zgonie jej czułej opieki.

ZMARLI:

X. Hermlu Aleksander, 8 stycznia 1904 r. w Prime Combe (Prowancya), żył lat 57, w Zgromadzeniu 37.

X. Antoni Farré, 8 stycznia 1904 r. w Madrycie (Hiszpania), żył lat 66, w Zgromadzeniu 46.

X. Wiktor Dienne, 10 stycznia 1904 r. w Dax (Akwitania), żył lat 79, w Zgromadzeniu 59.

X. Sylwian Vollétte, 19 stycznia 1904 r. w Dax (Akwitania), żył lat 76, w Zgromadzeniu 59.

X. Józef Gentili, 24 stycznia 1904 r. w Fermo (Rzymsk.) żył lat 72, w Zgromadzeniu 47.

Kl. Lekundus Arce, 10 lutego 1904 r. w Madrycie (Hiszpania), żył lat 23, w Zgromadzeniu 5.

X. Gustaw Giraud, 13 lutego 1904 r. w Verniers (Belgia Paryska), żył lat 50, w Zgromadzeniu 30.

X. Faustyn Payola, 13 lutego 1904 r. w Madrycie (Hiszpania), żył lat 28, w Zgromadzeniu 13.

X. Szczepan Gillot, 14 lutego 1904 r. w Dax (Akwitania), żył lat 86, w Zgromadzeniu 58.

X, Franciszek Klaszke, 25 lutego 1904 r. w Theux (Niemcy), żył lat 39, w Zgromadzeniu 12.

X. Tomasz Lorano, 26 lutego 1904 r. w Limpias (Hiszpania), żył lat 44, w Zgromadzeniu 25.

X. Joachim Lange, 13 marca 1904 r. w Freuchel (Portugalia), żył lat 26, w Zgromadzeniu 9.

X. Piotr Rossi, 22 marca 1904 r. w Genui (Lombardya), żył lat 80, w Zgromadzeniu 53.

Br. Wincenty Senape, 27 marca 1904 r. w Neapolu, żył lat 76, w Zgromadzeniu 52.

X. Antoni Westino, 14 kwietnia 1904 r. w Konstantynopolu, żył lat 63, w Zgromadzeniu 48.

X. Franciszek Belsack, 16 kwietnia 1904 r. w Lublanie (Austrya), żył lat 32, w Zgromadzeniu 12.

Br. Emanuel Barata, 23 kwietnia 1904 r. w Felgneriras (Portugalia), żył lat 64. w Zgromadzeniu 20.

X. Paweł Faris, 18 marca 1904 r. we Florencyi (Rzymska), żył lat 80, w Zgromadzeniu 63.

R. I. P.

Powtarzamy naszą prośbę, zanotowaną już w zeszycie z kwietnia b. r. — Prosimy mianowicie usilnie wszystkie dyrektorki Stowarzyszenia „Dzieci Maryi“ o nadsyłanie do Redakcyi *Roczników* sprawozdań co do początku, rozwoju i liczby członków tegoż Stowarzyszenia.

Dobre książki do nabycia u XX. Misyonarzy.

1) X. K. Gawroński: **Jasny i gruntowny wykład nauki Kościoła św.**, opr. 2·50 Kor. (Mk.).
2) Tegoż: **Historya święta**, 2 tomy razem oprawne 2·80 Kor. (Mk.).
3) X. Ludwik z Grenady: **Przewodnik grzeszników**, opr. 3·20 Kor. (Mk.).
4) X. Mioduszewski: **Śpiewnik kościelny** ze wszystkimi dod. 8 K. (Mk.).
5) Tegoż: **Kantyczka** 1·10 Kor. (Mk.).
6) **Pastorałki i kolędy** z nutami, opr. 2 Kor. (Mk).
7) **Wiadomość o 3 Szkaplerzach** i krótkie nabożeństwo 20 hal. (fen.).
8) **Nowenna za dusze w Czyścu** 30 hal. (fen.).
9) **Officium za zmarłych** 20 hal. (fen.).
10) **Opis koronki za zmarłych** 10 hal. (fen.).
11) **O naśladowaniu J. Chrystusa**, br. 1 Kor. (Mk.),opr. 1·50 Kor. (Mk.).
12) **O naśladowaniu Najśw. P. M.**, opr. 60 hal. (fen.).
13) **Nowenna do św. Wincentego à Paulo** 30 hal. (fen.).
14) **Maksymy św. Wincentego na każdy dzień roku** 30 hal. (fen.).
15) **Nowenna do św. Tekli** 30 h. (fen.).
16) **Adoracye N. Sakr.** opr. 1 Kor. (Mk.).
17) **Nowenny do Najśw. Panny M.**, opr. 1 Kor. (Mk.).
18) S. Kat. Emmerich: **Bolesna Męka Zbawiciela naszego** 1 Kor. (Mk.), opr. 1·50 K. (Mk.).
19) Tejże: **Życie Najśw. Panny**, opr. 1 Kor. (Mk.).
20) **O Dzieciątku Jezus w Pradze** 20 hal. (fen.).
21) **O jedności Kościoła** 2 Kor. (Mk.).
22) **Pacierz codzienny** 10 h. (fen.).
23) **Zegarek Męki Pańskiej** 10 hal. (fen.).
24) **Ofiarowanie Męki P. za zmarłych** 10 hal. (fen.).
25) **Śpiewniczek** mniejszy 60 hal. (fen.).
26) „ większy 1 Kor. (Mk.).

27) X. Dr. Collet: **Rozmyślania rekolekcyjne**, opr. 1·40 Kor. (fen.).
28) **Pamiątka rekolekcyi** większa, opr. 30 hal. (fen.).
29) **Pamiątka rekolekcyi** mniejsza, 10 hal. (fen.).
30) **Dusza przy żłóbku Chrystusa**, br. 30 hal. (fen.), opr. 40 hal. (fen.).
31) **Skarb ukryty**, opr. 80 hal. (fen.).
32) **Manualik Dzieci Maryi** po 1·60, 2 i 3 Korony (Mk.).
33) Św. Franciszek Sal.: **Droga do życia pob.**, brosz. 1 Kor. (Mk.), opr. 1·50 K. (Mk.).
34) **Błog. Franciszek Reg. Klet** 1 Kor. (Mk.).
35) **Obrazki** z życiorysem tegoż, 100 3 Kor. (Mk.).
36) **Żywot św. Jana Kantego**, opr. 1 Kor. (Mk.).
37) Miesiące: **Styczeń**, 38) **Marzec**, 39) **Czerwiec** 40) **Październik**, opr. po 1 K. (Mk.) 41) **Maj** 80 h. (fen.).
42) **Nabożeństwo do Niep. Serca Maryi**, br. 30, opr. 40 hal. (fen.).
43) **Książeczka misyjna** 1 Kor. (Mk.).
44) **Książki do nab. z odpustami** po 1·60, 2 i 3 K. (Mk.).
45) **O medalu św. Benedykta** 10 h. (fen.).
46) **Listki kółek żywego różańca** po 20 hal. (fen.).
47) **Cantionale Ecclesiasticum**, opr. 5 Kor.
48) **Rituale Sacramentorum** 7 Kor.
49) **Konferencye** X. F. Gawrońskiego, 2·50 K.
50) **Nieszpory** łać. i polskie 100 szt. 7 K. (Mk.)
51) **Obrazy N. Oblicza P. J.** na płótnie większe i mniejsze, **Dzwonki Loretańskie i Okowy św. Piotra.**
52) **Nowa pieśń o N. P. Lourdeńskiej**, z melodyą 10 hal. (fen.).

W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.